

PRENUMERATA: w Warszawie kwartalnie Rb. 2. Półrocznie Rb. 4. Rocznie Rb. 8. W Królestwie i Cesarstwie: Kwartalnie Rb. 2.25 Półrocznie Rb. 4.50 Rocznie Rb. 9. Zagranicą: Kwartalnie Rb. 3. Półrocznie Rb. 6. Rocznie Rb. 12. Miesięcznie: w Warszawie, Królestwie i Cesarstwie kop. 75, w Austrii: Kwartalnie 6 Kor. Półrocznie 12 Kor. Rocznie 24 Kor. Na przesyłkę „Alb. Szt.” dołącza się 50 hal. Numer 50 hal. Adres: „ŚWIAT” Kraków, ulica Bonerowska № 12. CENA OGŁOSZEŃ: Wiersz nonparelowy lub jego miejsce na 1-ej stronie przy tekście lub w tekście Rb. 1, na 1-ej stronie okładki kop. 60. Na 2-ej i 4-ej stronie okładki oraz przed tekstem kop. 30. 3-cia strona okładki i stronie poza okładką kop. 25. Za tekstem na białej stronie kop. 30. Zaślubiny i zaręczyny, Nekrologi, Nadesłane kop. 75. Marginesy: na 1-ej stronie 10 rb., przy nadesłanych 8 rb., na ostatniej 7 rb., wewnątrz 6 rb. Załączniki po 10 rb. od tysiąca.

Adres Redakcji i Administracji: WARSZAWA, Zgoda № 1.
Telefony: Redakcji 80-75, redaktora 68-75, Administracji 73-22.
FILIE ADMINISTRACYJNE: Sienna № 2 tel. 114-30. ŁÓDŹ, ulica Piotrkowska № 81. Za odnośnienie do domu dołącza się 10 kop. kwart.

ŚWIAT

Rok VIII. № 10 z dnia 8 Marca 1913 r.

NATURALNA WODA PRZECZYSZCZAJĄCA

APENTA

działa łagodnie i pewnie.



Francuskie Tow. Ubezpieczeń na życie

„L'URBAINE”

Ulgi na wypadek niezd. do pracy
Filja dla Król. Pol. Merszałk. 138.

Oddział miejski Aleja Jerozolimska 21.

Nakładem Akc. Tow. S. Orgelbranda Synów w Warszawie wyszła i jest do nabycia we wszystkich księgarniach najnowsza komedia w 3-ach aktach *Stefana Krzywoszewskiego*

Dyabełikarczmka.

Hotel ROYAL w WARSZAWIE.
Telefon: 5-09, 8-29.
Winda. Elektryczność. Kąpiele.

Włodzimierz Perzyński

ŁUT

SZCZĘŚCIA

POWIEŚĆ

Cena rb. 1.20.

Żądać we wszystkich księgar-
niach.

DOM BANKOWY **Felicyan Sokołowski**
Warszawa, Krakowskie-Przedmieście 5.

TROCADERO

Bar-Restauracja

Nowy-Świat № 23. — Telefon 267-61.
Wydaje obiady z 5-ciu dań po 50 kop.
od godziny 1 do 5-ej po poł. Gabinety.

HOTEL EUROPEJSKI
W WARSZAWIE.

Pijcie Piwo
WALDSZLESCHEN

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT”. Redaktor: Stefan Krzywoszewski.
Warszawa, ulica Zgoda № 1, róg Chmielnej.

Redaktor odpowiedzialny na Galicję: Antoni Chołoniewski, Kraków, Bonerowska № 12.

Upraszamy o wczesne nadsyłanie przedpłaty na kwartał II-gi r. b., celem uniknięcia zwłoki w wysyłaniu pisma.

Administracja „ŚWIATA”.

Geneza nieprodukcyjności duchowej Stanów Zjednoczonych.

Stany Zjednoczone imponują dziś Europie wysoką skalą dobrobytu i szybszym wzrostem bogactw. Stąd utrzymuje się dawna legenda o dzielności duchowej amerykańców, o ich energii. Lecz bogactwa Stanów Zjednoczonych mają podłoże w bogactwie naturalnem i stosunku ludności do terytorium Stanów, oraz w olbrzymim procesie kolonizacyjnym, wywołanym właśnie powyższymi czynnikami.

Stany Zjednoczone—to cieplarnia węgiel i żelazo w 30 stanach, obfitują w złoto, które dwukrotnie rewolucjonizowało gospodarcze stosunki Europy, mają obecnie, przy przestrzeni tylko o 20% mniejszej, niż cała Europa, niemal 5 razy od niej mniejszą ludność. Przyroda dała swe bogactwa, Europa kapitał i tyle rąk do pracy na każde zawołanie, ile potrzeby ekonomiczne wymagała.

Stany Zjednoczone—to cieplarnia dla wzrostu bogactw; najlepszy jednak dowód, że, jakkolwiek siły materialne są niezbędne dla rozwoju cywilizacji, nauki, sztuki, to jednak nie przeobrażają się w siły psychiczne, i rozwój ich, przerastający inne czynniki, nie daje pomyślnych rezultatów.

Produkcja naukowa i literacka wyższego rzędu jest tu ubogą. Ubóstwo duchowe amerykańców rozpatrywaliśmy przed paru laty na innym miejscu. Obecnie pragniemy dać genezę nieprodukcyjności duchowej, rozpatrzyć upośledzenie psychiczne amerykańców.

Przyczyny ich słabej wytwórczości umysłowej tego, cośmy nazwali ich duchowem upośledzeniem, zależą od czynników różnorodnych, tak natury organicznej, jak i nadorganicznej, czyli historycznej i społecznej.

Rasa czerwonoskóra Ameryki była bezwarunkowo mniej zdolną, niż biała, lub pokrewna jej rasa żółta. Była ona produktem gleby amerykańskiej, klimatu amerykańskiego, tych warunków, które pozostały niezmiennione. Lepiej od szkodliwych wpływów przyrody przez odzież i sposób mieszkania zabezpieczony amerykańczy współczesny ulega w każdym razie w pewnym, choć słabszym stopniu, tym organicznym warunkom przyrodzonym. Klimat Ameryki nie sprzyja, z wyjątkiem tylko Kalifornii, kulturze winogron. Określić sprzyjające i niesprzyjające warunki kultury roślin umiemy; warunków fizycznych, sprzyjających lub niesprzyjających rozwojowi myśli i ducha — nie możemy; nie dowodzi to jednak, żeby warunki te nie istniały.

Geograf Reclus zwrócił uwagę na to, że klimaty Ameryki i Australii przyczyniają się do osłabienia energii duchowej anglosasów, tam osiadłych. Zapatrując się jednak na Amerykę zbyt pochlebnie, nie rozwinął tej idei.

Ze sprawozdania komisarza imigracyjnego za r. 1909 dowiadujemy się, że badania, dokonane nad dziećmi żydowskimi i włoskimi, zrodzonymi w Ameryce, wykazują, iż pierwsze tracą swą typową szeroko-

głowość, drugie długowłosowość. Pytanie, czy to zacieranie się cech rasowych pod wpływem obcych warunków klimatycznych nie idzie w parze z zacieraniem się pewnych subtelnych, wyższych funkcji psychicznych?

Dzieci imigrantów, tu urodzone, są wogóle wyższe, niż dzieci z ich kraju. Typ wysokiego, suchego człowieka, to typ, który wytwarza klimat amerykański. Typ o zaokrąglonych członkach, to typ irlandzki, ulegający tu przeobrażeniu. Typ yankesa jest rażąco podobny do typu czerwonoskórego. To podobieństwo rzuciło mi się w oczy, gdy widział na placu uniwersytetu w Chicago młodzież amerykańską płci obojga, oddającą się w sportowym półubraniu grom sportowym wśród upalnego lata — opaloną, zczzerwieniałą od słońca. Znakomicie oddające typy czerwonoskórych figury w muzeum waszyngtońskim Smithsonian'a świadczą o podobieństwie czerwonoskórych do yankesów, pomimo, że krwi indyjskiej yankesi nie mają w swych żyłach. Zresztą wyteplili oni czerwonoskórych do tego stopnia, że pozostało ich wszystkiego około 800 tysięcy.

Nie czerwonoskórzy, lecz murzyni wpływają drogą krzyżowania na rasę amerykańską, zwłaszcza na południu. Już w Waszyngtonie, gdzie trzecią część ludności stanowią murzyni, różnych stopni metysi stanowią do 10% ludności. Jeżeli ustanie imigracja włochów i innych południowców do Stanów południowych, ludność tych Stanów ściemnieje przez wchłanianie do swych żył zbyt wiele krwi murzyńskiej, wytwarzającej rasę, upośledzoną psychicznie, choć mocną fizycznie i ładną, ale pod warunkiem, aby przymieszka krwi murzyńskiej nie przechodziła jednej czwartej. Skutki krzyżowania, zaobserwowane przez hodowców, winny być przenoszone do świata ludzkiego z pewnym zastrzeżeniem. Hodowcy chodzi o zdrowe, ładne, muskularne osobniki; osiąga to przez krzyżowanie. Zdrowe i ładne osobniki ludzkie powstają w Ameryce drogą krzyżowania, zwłaszcza — wśród osobników różnych narodowości rasy białej. Krzyżowanie ściiera zboczenia z linii normalnej dla rasy białej, wywołuje powrót do pierwotności. Geniusz jest spotęgowaniem cech indywidualnych, jest maksimum tego, co daje pewna grupa etniczna. Nieliczność rasy czystej zmniejszać musi ilość wybitnych indywidualności w Ameryce, jako w kraju mieszańców.

W roku 1900 Ameryka miała wszystkiego 65 do 65.6% urodzonych z rodziców amerykańskich, przy czym procent ten w północno-atlantycznym pasie spada do 48.6 pr., w północno-środkowym dochodzi już do 55.8 pr., a w południowych 92.4, na wschodzie 94.1, na zachodzie 52.4; ale tu, jak wspominaliśmy, ciąży krzyżowanie z murzynami i klimat, osłabiający energię synów

strefy bardziej umiarkowanej. Zachód ma większy, niż wschód, procent z rodziców amerykańskich (52.4), ale też i największy procent, pochodzący z rodziców mieszanych, amerykańsko-europejskich (10.4); na zachodzie mniej zwartą masą mieszkają cudzoziemcy jednej narodowości, niż na wschodzie; stąd krzyżowanie jest częstsze.

Warunki fizyczne: klimat, krzyżowanie się, dają osobniki coraz to mniej płodne. W pierwszych dziesięcioleciach XIX wieku Ameryka miała przeszło 30% naturalnego przyrostu; w ostatnich dziesięcioleciach przyrost faktyczny, naturalny i z imigracji powstały wynosił 20.7; w dziesięcioleciu od 1890 do 1900 i 1900 do 1910 zaś 21.0, przy olbrzymiej imigracji. Można przypuszczać, że na zmniejszenie się płodności, jak na zachodzie Europy, wpływa świadoma wola rodziców, ale, nie odrzucając tego czynnika, twierdzą, na mocy medycznych pism amerykańskich, rozmów z lekarzami i obserwacji znacznej cyfry bezdzietnych małżeństw wśród staroamerykanów, że wśród nich występuje w olbrzymiej ilości wypadków *niepożądana* przez rodziców bezpłodność. Bez imigracji i przyrostu naturalnego w rodzinach imigrantów, Stany Zjednoczone, w stosunku do Europy i Azji, miałyby coraz to mniej ludności i musiałyby stać się obcą zdobyczą. Obfita zaś imigracja, choć wzmacnia gospodarczo, uboży cywilizacyjnie Stany.

Zdawaćby się mogło, że Stany Zjednoczone właśnie przez imigrację muszą mieć bogatą cywilizację, że każdy z narodów europejskich wniesie coś ze skarbcza swej cywilizacji: poezji, filozofii, ideałów społecznych i t. d. Tak nie jest. Wprawdzie wśród imigrantów z Polski po r. 1831 znalazł się tłumacz poetów polskich; niemiecka emigracja po r. 1848 zaznajomiła Amerykanów z poezją i filozofią niemiecką; niemiecka i żydowska emigracja naszych czasów usiłuje prześlancować do Ameryki produkt swego ducha, socjaldemokratyzm, jakkolwiek bezskutecznie. Ale te dane, jak na 90 lat emigracji, na 27 mil. przybyszów do Ameryki, w $\frac{9}{10}$ z Europy, nie znaczą nic. Europa dawała i daje Ameryce emigrację chłopską i robotniczą, odłamki warstw, które bezpośrednio same nie wytwarzają cywilizacji, nauki, sztuki i literatury. W Europie były one dopiero podłożem dla cywilizacji rodzimej; tu są podłożem dla amerykańskiej cywilizacji, ale i amerykańskiego barbarzyństwa. Dają więc ludzi, którzy wchodzi do cywilizacji amerykańskiej, lecz jej nie wzbogacają nowym pierwiastkiem rodzimym, bo nawet te jego okrucy, wywiezione z kraju, zniweczyło nurzanie się psychiczne w prasie amerykańskiej — w angielskim lub rodzimym języku — to wszystko jedno, — lecz robionej na obraz i podobieństwo pierwszej; jest to

jakby klasa wstępna dla duchowych potrzeb imigrantów. Rzecz charakterystyczna: gdy w r. 1908 Stany Zjednoczone liczyły 21520 czasopism, w językach obcych było wszystkiego 1200, reszta w angielskim; tymczasem ludność z rodziców nieangielskiego języka stanowi około $\frac{1}{4}$ część ludności Stanów. Kulturalno-naukowe instytucje ludności nieamerykańskiego pochodzenia stanowią jeszcze bardziej nieznaczoną część instytucji kulturalnych Ameryki. Życia umysłowego na szerszą skalę, wydajności w dziedzinie sztuki, literatury własnej, nauki narodowej nie było dotąd w rozmiarach, mogących zażywać na szali.

Nowy Jork, liczący więcej Niemców, niż Drezno, więcej Włochów, niż Neapol, w życiu duchowym Niemców i Włochów odgrywa mniejszą rolę, niż czwartorzędne miasta niemieckie lub włoskie. Dla swej rodzimej cywilizacji emigracja żadnego z narodów europejskich Ameryce nie dała nic. Ogołocone z rodzimej cywilizacji materiały etnograficzne pokrywają się pokostem amerykańizmu i kontynuują amerykańizm, a więc jego myśl przewodnią: pogoń za groszem bez skrupułów moralnych, bez ideałów.

Tracąc rodzimą cywilizację, dzieci przybyszów zatracają równocześnie pierwiastki etyki tradycyjnej. Nie imigranci, ale dzieci imigrantów wykazują największy udział w przestępstwach; nie imigrantki, lecz córki imigrantów biorą największy udział w prostytucji Stanów Zjednoczonych. Imigranci dają łatwe pole dla wyzysku, wskutek swej nieświadomości: bakcyllus wyzysku i oszustwa amerykańskiego hoduje się i pleni na ciele imigracji przeważnie w późniejszych pokoleniach. Brak poczucia obowiązku względem swych robotników, charakteryzujący, wbrew fałszywej informacji Sombarta, przemysł amerykański, jest w znacznej mierze wywołany brakiem spójni narodowej między fabrykantem a robotnikami, przeważnie imigrantami, oraz poczuciem, że Europa zawsze dostarczy rąk roboczych, skoro tylko tego będzie potrzeba.

P. Sidney Fisher, autor artykułu: „Czy imigracja spowodowała wyschnięcie duchowe Stanów Zjednoczonych?” i dający na owo pytanie odpowiedź twierdzącą, zwraca równocześnie na inną stronę kwestyi uwagę. Zdaniem jego, dlatego Massachusetts dostarczał Ameryce wielkich pisarzy, zwłaszcza w okresie od 1780 do 1820 r., że posiadał ludność, wyłącznie z Anglii pochodzącą, że rozrastał się przeważnie nie przez imigrację, lecz drogą naturalną. Po dwudziestym roku zeszłego wieku Stan ten wchłonił dużo imigracji; rozcieńczyło to ducha narodowego, a wobec tego, że wielki człowiek jest wyobrazicielem ducha narodu, utrata jednolitości ducha wywołała bezpłodność duchową Stanu, który nie-

mał wyłącznie dostrecał wielkich pisarzy amerykańskich. W tem jest też pewna racja: uczuciowy stosunek do różnych zjawisk u dziecka potęguje się, jeżeli napotyka uczucia analogiczne w otoczeniu; osłabia się, spotykając się z niechęcią lub obojętnością do rzeczy ukochanych. Wychowanie wśród mieszaniny narodowościowej musi wpłynąć ujemnie na kulturę uczuć, zubożyć duszę, uczynić ją przez to niezdolną do głębszej twórczości artystycznej, a nawet naukowe w tej dziedzinie, gdzie pierwiastek uczuciowy odgrywa rolę wybitną, jak np. w dziedzinie nauk politycznych.

W epoce kolonii sekciarskich, karmiących się duchem żydowskim przez biblię, wytworzył się wśród amerykańców mesyanizm, wiara, że są narodem wybranym przez Boga. Wzrastające powodzenie utwierdziło ich w wierze w swą nadzwyczajną wartość. Stało się to specyfikiem dla asymilacji cudzoziemców, emigrantów. Ameryka — to ósmy cud świata; amerykańscy mężowie stanu, różni Linkoln — to geniusze, więksi od Napoleona. Na każdym kroku spotykamy w Ameryce owe obrazające geniusz ludzki zestawienie Linkolna, średniej miary człowieka, z tym bajecznym geniuszem, i oddawanie pierwszeństwa Linkolnowi. Ograniczony duchowo amerykańizm przyczynia się do asymilacji imigrantów, lecz zacieśnia sferę interesów umysłowych, obniża lot cywilizacji Ameryki. Gdy się amerykańcinowi mówi o brakach cywilizacyjnych St. Zjednoczonych, zawsze się słyszy jedną odpowiedź: my jesteśmy młodzi: Europa ma szereg stuleci,—my nie mamy nawet dwóch.

Jest to absurd. Pod względem rasowym Amerykanie składają się: z Anglików, Irlandczyków, Niemców i t. d., nie zaś z jakichś początkujących ras. Związek rasowy z Anglią jest tak silny, że jednocześnie w Anglii i w Stanach Zjednoczonych nastąpiło zmniejszenie się płodności rasy; tylko wśród staro-amerykanów proces ów zrobił znaczniejsze postępy.

To ogołacanie się z pierwiastków cywilizacji rodzimej imigrantów może nasunąć przypuszczenie, że w dalszym ciągu rozwoju, przy ustaniu nowej imigracji, nastąpi cywilizacyjne dojrzenie Ameryki, charakteryzujące się większą płodnością duchową. Ale ów brak plności, który występuje u staro-amerykanów, jest już cechą starości i sprawia taką samą niemożność rozwoju Ameryki bez przyływu coraz to nowych imigrantów, jak Rzym w okresie upadku nie mógł się obyć bez barbarzyńców, którzy położyli koniec dawnemu światu.

Nacjonalizm amerykański, zwracający się dziś przeciw imigracji rasy nie-anglo-saskiej, o ile byłby konsekwentny i bezwzględnie śmiały w swych budowach myślowych, winienby uznać separację Ameryki od Anglii, rewolucję 1773 — 1783 r., dokonaną przy pomocy Francji, za błąd, a dotychczasowych bohaterów, jak Washington, Franklin i t. d., — za szkodników.

Oderwanie Ameryki od Anglii było antysaksońskim dziełem Francji przede wszystkim, bo bez jej pomocy upadłoby powstanie amerykańskie, a dalej Irlandczyków i t. d., czyli żywiołów, zrodzonych z obcego pierwiastku.

Ameryka, pozostająca kolonią angielską, nie byłaby tą mieszaniną narodów, tym kotłem, wytwarzającym wary przeważnie lichego gatunku.

Oderwana od Anglii Ameryka mogłaby wytworzyć szereg różnorodnych rzeczypospolitych lub przynajmniej stanów, gdyby przez długi czas nie dominowało liczebnie wychodźstwo z Wielkiej Brytanii, a, co najważniejsza, gdyby nie była tak poprzecinana drogami wodnymi, łączącymi jej terytoria. Ten ostatni czynnik natury geograficznej wytworzył ową mieszaninę amerykańską, tak bezpłodną cywilizacyjnie.

Pensylwania, jeszcze za czasów kolonii, była już bliska tego, by stać się niemiecką; obawiał się tego nawet rząd angielski. Luizjana była pod przewagą Francji; zostałaby francuską, nie uległaby sprzedaży przez Francję w r. 1803, gdyby była silniej zasilana przez wychodźstwo z Francji.

Inną, bogatszą treść cywilizacyjną wytwarzałyby Ameryka, gdyby się w niej rozwijały różne narodowe indywidualności, z odrębnymi organizacjami politycznymi.

Byłaby może Ameryka uboższą materialnie, ale bogatszą cywilizacyjnie, nie byłaby klasycznym krajem trustów, lecz przez sam wzgląd na walkę międzynarodową dbałaby więcej o życie i zdrowie robotników, niż dzisiaj. Energia amerykańska nie byłaby tak, jak dziś, skierowana przeważnie ku zdobywaniu bogactw materialnych, gdyż bogactwo nie stałoby się wyłącznym i jedynym jej celem, zwracającym ku sobie całą energię zbiorową.

W. Studnicki.

Malarstwo rosyjskie.



I. M. Prianisznikow. W roku 1812-ym.



„Mali amerykańscy, potomkowie różnych narodowości, przy pracy nad sztandarem Stanów Zjednoczonych”. (Z agitacyjnej publikacji, rozszerzanej przez nacjonalistów amerykańskich wśród Polaków w Ameryce).

Czy Polacy amerykańkują się?

Wielka kolonia polska w Ameryce wiecie życie, dziwnie słabo związane ze swą ojczyzną metropolią. Kraj prawie nie bierze nas w rachubę. Tylko w rzadkich i szczególnie uroczystych chwilach, jak np. przed dwoma laty, podczas kongresu polskiego w Waszyngtonie, ojczyzna wyciąga do nas swą dłoń na krótko i przypomina sobie, że istniejemy. Oddawna zjawisko to wydawało mi się anormalnym. Wszak nie tworzymy tu drobnej garści, nie zasługującej na uwagę. Liczymy się nie na dziesiątki tysięcy i nie na krocie, lecz na miliony—stanowimy prawie część piątą narodu, co na papierze, w statystyce naszej siły ludnościowej, zawsze skrupulatnie bywa uwzględniane. Małe interesowanie się nami w ojczyźnie tłómaczyłem sobie ogólnym naszym politycznym położeniem. Mówiłem sobie: Ciężkie troski domowe sprawiają, że Polska zapomina o wielkim swym odłamie, oderwanym od ojczystego gruntu; zaabsorbowana walką o byt narodowy, nie ma czasu, by nam także poświęcić trochę systematycznej uwagi. Ta próba wyjaśnienia nie wystarczała mi przecież. Nie wydawało mi się usprawiedliwionem, aby nawet w najcięższych warunkach wolno było zapominać o milionach ludzi, tym samym mówiących językiem i te same pielęgnujących ideały. Właśnie wśród ciężkich walk, jakie Polska toczy, powinna dla niej być cennym czynnikiem moralnym świadomość, że nawet zdala od ziemi ojczystej żywioł polski skupia się i wytwarza siłę. Walcząca Polska zyskuje przecież w tym fakcie jeszcze jedno potwierdzenie swej żywotności i choćby dlatego powinna nie tracić z oczu tych mas, które sama w chwili świątecznej, krótko trwającego uniesienia, nazwała „czwartą dzielnicą”.

Niedawny dopiero pobyt w kraju przekonał mnie, że nie tylko absorbujące domowe troski są przyczyną

małej o nas pamięci. W licznych rozmowach miałem sposobność zauważyć, że życie nasze budzi tam słabe zajęcie z przyczyn głębszych, że z zupełną świadomością wyznacza mu się miejsce wśród zainteresowań niezwiązanych z rzeczywistością, możnaby powiedzieć: egzotycznych. I jednocześnie natknąłem się na źródło tego stanu rzeczy: Nie wierzą w Polsce w trwałość naszego istnienia. Obliczają je na metę nader krótką. W mniemaniu powszechnym, jesteśmy skazani na zagładę, trochę rychlej, czy trochę później, ale nieuchronną, nie dającą się zażegnać. Potężna fala amerykańska musi nas pochłoniąć. Opierać się temu, jest to rzecz uczuciowo piękna, ale zarazem jest to trud próżny, jest to tylko małe opóźnienie naturalnego i koniecznego procesu. Może zachować swą polskość pokolenie, które przybyło z kraju. Ale dalej? Ci, co porodzili się w Ameryce, dla których Polska jest nieuchwytnym, oderwanym pojęciem? Niechby wreszcie udało się przy znacznych wysiłkach zachować generację drugą, czy też część jej. Ulegnie napewno trzecia, wsiąkając bez śladu w mrowie anglosaskie.

Czy tak być musi? Sproбую wyświecić.

Nie wdaję się w zgadywanie, co przynieść może przyszłość bardzo odległa. Przy ciągłym wyłanianiu się czynników nowych i niespodziewanych, może ona przynieść rzeczy, nie mieszczące się wogóle w najbardziej misternych obliczeniach. Chodzi mi o przyszłość, dającą się przewidzieć, więc o to, co człowiek realny w swym działaniu może mieć jedynie na uwadze. Z tego punktu widzenia oceniamy elementy naszego życia na wychodźstwie amerykańskim, niepodobną żadną miarą znaleźć uzasadnionych podstaw do pośpiesznego przechodzenia do porząd-

ku nad tym zasobem sił, jaki tu nagromadziliśmy.

Zasoby te są wcale znaczne. Trzeba pamiętać, że nawet w wielkiej Ameryce liczba nasza nie jest bynajmniej znikoma, że w całym szeregu Stanów tworzymy zgórą 10% ludności, że czteromilionowa masa nasza nie zawsze rozpryskuje się na atomy, lecz niejednokrotnie skupiła się w wielkie i zwarte centra własnego życia, odżywianego przez kościół, szkołę, stowarzyszenia i prasę. Wynarodowienie znajduje w tych ogniskach zapórę ważną, ale nie jedyną. Drugą, którą mocno podkreślić należy, tworzy natura naszego materiału ludzkiego. Wychodźca polski niełatwo się wynaradawia; nie jest to iluzja, lecz fakt pozytywny. Prasa amerykańska stwierdziła niejednokrotnie, że najtrudniej, najoporniej asymilują się w Ameryce Polacy w przeciwnieństwie np. do Niemców, którzy stosunkowo szybko ulegają zanglizowaniu się. Wymownym jest już sam fakt wytworzenia tych dóbr duchowych i materialnych o mocnym narodowym zabarwieniu, jakie tu posiadamy. Zważmy bowiem, że owe setki i setki instytucji narodowych, które dłoń polska wniosła kosztem milionów, to dzieło naszego chłopca, który na brzeg amerykański przybył w stanie absolutnie surowym, nie przyniósł nic więcej, prócz dźwięków ojczystego języka. Nie szedł z nim polski wykształcony przewodnik. Przez długi czas nie było tu śladu polskiej inteligencji. W takich warunkach, odcięty od źródła własnego duchowego życia, olśniony życiem nowym, bogatym i obcym, mógł wychodźca nasz szybko roztopić się w środowisku amerykańskim. Jednak nie uległ przewadze tego środowiska. Wiedziony instynktem zachowawczym, skupiał się w gromadę, wytwarzał z wolna swą oświeceniową warstwę i wyłaniał z siebie sam tę ubogą kulturę polską, jaką można było w danych warunkach wytworzyć. Jeżeli te pierwsze fale wychodźcze oparły się wynarodowieniu, o ileż łatwiejszym jest to dziś, gdy nowo przybywające zastępy zastają już gotowe wielkie skupienia polskie, o tętnie, silnie bijącym. Jesteśmy tu świadkami nie amerykanizowania się, lecz polszczenia się, a raczej narodowego uświadamiania się materiału, jaki przybywa z niektórych stron Polski. Z drugiej strony ciągły, świeży dopływ z kraju odżywia i wzmacnia starą kolonię, czyniąc ją tem odporniejszą na wpływ obcy.

Amerykanizacja, zwłaszcza poza temi wielkimi skupieniami, zdarzać się sporadycznie musi, ale nie jest zjawiskiem typowym. Typowym zjawiskiem jest natomiast rosnąca zwartość polskiego żywiołu, czego charakterystycznym objawem jest olbrzymi i coraz szybszy rozwój naszych organizacji; każdy rok przynosi im tysiące ludzi. W takim stanie rzeczy kwestya „drugiego i trzeciego pokolenia”, czy też dal-

szych pokoleń, nie otwiera pola dla czarnych myśli. Doświadczenie dotychczasowe również do pesymizmu nie uprawnia. Żyją wśród nas niewynarodowieni potomkowie pierwszych osadników — z przed pół wieku. Obok zamerykanizowanych dżentelmenów, których dziadowie przybyli tu ze wsi nadwiślańskiej, mamy nierównie liczniejszą młodzież polską, urodzoną i wychowaną już w Ameryce. Daleki kraj, którego ci młodzi ludzie nigdy nie widzieli, nie jest czemś tak całkowicie abstrakcyjnym, jakby się mogło wydawać. Walka o serce i wyobraźnię naszego młodego pokolenia, jaka rozgrywa się między Ameryką i Polską, może być rozstrzygana i bywa rozstrzygana na korzyść ostatniej. Piękno i bogactwo historii naszej, z którą dzieje młodej Ameryki nie mogą się porównać, budzi uczucie dumy narodowej. Młody polak wie, że jego dawna ojczyzna jest „rycerzem wśród narodów“, wie, że chwałę jej głoszą także amerykańanie. Te bohaterskie pierwiastki polskiego życia stają się tu czynnikiem uodporniającym. Rzeczywistość codzienna również spełnia swą misję. Małżeństwa, zawierane niemal zawsze wśród swoich, są przenosicielami języka ojczystego na dalszą generację. Środowisko polskie, niełatwo pozwalające wyzwolić się jednostce, wznosi się na coraz wyższy poziom i coraz wyższym wystarcza potrzebom.

Nie jesteśmy wobec imponującej, lecz jednostronnej kultury Ameryki zupełnie bezbronnymi. O korzystnej dla nas, zachowawczej atmosferze świadczą przykłady repolonizowania się jednostek już zamerykanizowanych, świadczy np. znamieny rys z ostatnich czasów, iż wśród polek-amerykanek uchodzi za rzecz dobrego wychowania mówić piękną polszczyzną. Mnożące się średnie i wyższe polskie zakłady naukowe (ostatni w Cambridge-Springs, w Pensylwanii) wzmacniają nasze dobre widoki.

Nacyonalizm amerykański, który pragnąłby widzieć miasta swe jednolicie anglosaskimi, zdaje sobie doskonale sprawę, że skupienie się tu wielkich mas obcych — nietylko polskich — utrudnia ich asymilację. Masz polskie radby pełną na farmy, jako osadników i robotników rolnych. To ostatnie byłoby dla nas zabójcze, gdyż robotnik, rozproszony na farmach, musiałby uleść amerykanizacji. Osadnictwo, planowo przeprowadzone, byłoby i dla nas korzystne. Wszak mamy, zwłaszcza w Wisconsinie, krociowe osadnictwo, znakomite zabezpieczone przed wynarodowieniem. Tymczasem jednak usiłowania zarówno nasze, jak rządu, by ludność polską zwrócić do roli, nie dają szczególnych wyników. Ludność ta skierowuje się do miast, fabryk i kopalń, najpierw dlatego, że tu czeka ją szybszy i obfitszy zarobek, powtóre, że trafia tu na gotowe skupienia polskie, otwierające przed nią możliwość udziału we własnym życiu



„Stany Zjednoczone są osiemnaście razy większe od Polski”. (Mapka agitacyjna, rozpowszechniana przez nacyonalistów amerykańskich wśród polaków w Ameryce).

religijnem, towarzyskiem i kulturalnym. Tu zatem dosięgają ją próby amerykanizacji, podejmowane przez nacyonalizm miejscowy.

Dalekie są one od dzikich środków, jakich używa barbarzyństwo pruskie. Ameryka otwiera przed przybyszem polskim skarbnice swych świetnych urzędów, bogactwo swej materyjalnej i duchowej kultury, i nie mięci. W tym duchu różne grupy nacyonalistyczne uprawiają żywą agitację, rozpoczynając ją niemal od chwili wylądowania imigranta na brzeg atlantycki. Oto np. „Stowarzyszenie córek amerykańskiej rewolucji“ wydaje świeżo „Przewodnik po Stanach Zjednoczonych do użytku polskich imigrantów“, który zaprasza przybywającego polaka do grona wielkiej anglosaskiej rodziny. Czy ni to miękko, oględnie, nie zniechęcając go do własnych rodaków, a tylko ukazując w ponętnej perspektywie korzyści powolnego zamerykanizowania się. Nie jesteśmy jednak tak słabi, aby tej agitacji nie móżdż z powodzeniem stawić czoła. Oto przykład: W dzielnicy polskiej w Chicago gmina wybudowała wspaniały gmach, w którym miały się odbywać bezpłatne wykłady popularne w języku angielskim, specjalnie dla polaków, celem wciągnięcia ich w krąg wpływu amerykanizującego. Przez dwa lata gmach stał pusty, z powodu braku słuchaczy. Dziś jest w nim codzień pełno, ale wykłady prowadzi polski uniwersytet ludowy.

Nie musimy więc zniknąć. Zawsoby, które nagromadziliśmy i które pomnażamy, starczą na długo. Możemy żyć i trwać.

Będziemy zaś trwać tem pewniej, im bardziej czuć będziemy, że kraj liczy się z nami, że nie jesteśmy w opinii jego straconą placówką. Jak silnie oddziaływa na nas to, co dzieje się i o czem myśli się w Polsce, może zaświadczyć fakt, iż pod wpływem wstrząśnień moralnych, jakie niedawno w Europie przeżyto, dokonała się tu w jednej chwili rzecz, o której przedtem nikt marzyć nie śmiał: połączenie się wszystkich tutejszych organizacji polskich, stojących wobec

siebie nieraz na stopie wojennej, w jedną całość, w wielki „Komitet obrony“, w którego skład weszli delegaci zrzeszeń, reprezentujących około ćwierć miliona, bo 240.000, stowarzyszonych. Tak oddziało tu drgnienie nadziei z kraju ojczystego. Leży więc w obopólnym naszym interesie — nie zapominając o sobie. Polska powinna bardziej interesować się naszym życiem. Tworzymy jej wielomilionowy odłam. Nie da się przewidzieć, czy nie zważymy na jej losach w przyszłości, ale na tych losach jej ważymy już dziś, w dziedzinie gospodarczej i w dziedzinie kulturalnej. Miliony, zdobyte w amerykańskich kopalniach i fabrykach, płyną do kraju corocznie i znaczą coś w jego budżecie. Nasze organizacje służą nietylko nam — one są także szkołą życia narodowego dla tysięcy wychodźców, którzy przybywają tu tylko na krótki czas i wracają z zarobionym groszem do domu. Kultura wsi polskiej zawdzięcza wiele Ameryce i tym ogniskom oświaty i wykształcenia, jakie tu rozpaliliśmy. To wszystko nakazywałoby poświęcić nam znacznie więcej uwagi, niż dotychczas.

Narody żywotne nie szczędzą opieki moralnej choćby najmniejszym swoim odłomom, rozproszonym po świecie. Duch Germanii idzie za swymi kolonistami w puszcze Brazylii — wielkoruski osadnik w Kanadzie czuje na sobie dłoń dalekiej Rosji. Tylko my doświadczamy osamotnienia. Nie powinna jednak Polska kurczyć się dobrowolnie. Słaby dotychczasowy kontakt metropolii naszej z olbrzymią kolonią zaatlantycką uleść powinien zmianie.

Chicago.

Jan Bielecki.





„Komedya”, płaskorzeźba A. E. Bourdelle'a, przeznaczona dla teatru przy *Champs Elysées*.

Płaskorzeźby dekoracyjne A. E. Bourdelle'a.

Pojęcie *przestrzeni* i *czasu* absorbowало zdawna umysł ludzki. Człowiek, nie mogąc realnie ująć przestrzeni, mierzy ją stosunkiem do samego siebie — daje to początek geometrii. Mierzając czas — odkrywa liczbę. Dwa te wymiary stają się podstawą dwóch, najbardziej abstrakcyjnych sztuk: *architektury*, wychodzącej z geometrii, oraz *muzyki*, opierającej się na liczbie, która jest miarą czasu.

Architektura, oparta na doskonałym połączeniu wymiarów, jest najbardziej harmonijnym ujęciem abstrakcyjnej idei, symbolizując myśl zbiorową ludzkości danej epoki. Sztuka ta, w samej rzeczy tak silnie związana z materią, opierająca się na suchych, matematycznych wyliczeniach — w istocie jest bardziej oderwaną od życia, niżli rzeźba i malarstwo.

Gdy te — dają, bądź co bądź, ujęcie cząstki z całości życia, architektura bierze jego całość w epoce. Nie jest ona kopią żywego modelu, nie asymiluje pojęć danej jakiejś rzeczy, lecz budzi równie bezpośrednio, jak muzyka, oderwane uczucia. Piękna gotycka nawa; łuk śmiały, czy-

stą linią zakreślony w przestrzeni; las kolumn wyniosłych; bretońska kalwarya; spadzista, modrzewiowa dzwonnica Polski drewnianej; mroczna staro-romańska kuziemna budowla lub wyniosły tum gotyku — grają na uczuciach naszych, a każde gra odrębnie. Całość w swej harmonii budzi w nas najbardziej oderwane uczucia — nie zaś myśli konkretne, będące już, bądź co bądź, następnoplanową formą naszego wewnętrzne-go życia.

Jeśliśmy architekturę zechcieli przyrównać do rośliny, to rola malarstwa i rzeźby byłaby w stosunku do niej harmonijnym uzupełnieniem dzieła — owym kwiatem, wystrzelającym w górę, o pięknej barwie i kształcie, lecz kwiatem silnie, organicznie złączonym z rośliną, z natury rzeczy podporządkowanym jej do tego stopnia, iż dla danej rośliny może on być tylko tym i takim — nie innym.

Rola zatem sztuki dekoracyjnej z tego założenia — *dopełniania architektury* — winna wychodzić. Artysta musi się liczyć z jej sklepieniami, arkadami, łukami, wypełniać luki, otaczać kolumny, wmiszczać rzeźbę w dane płaszczyzny, by nie występo-

wała dysharmonią, a gestem swym podkreślała i akcentowała ogólny wyraz gmachu, dobierać tonów i barw, by zbyt ostra plama nie przecinała i nie zakłócała całości.

A. E. Bourdelle, pierwszorzędną dziś siłą artystyczną Francji, a któremu społeczeństwo polskie lat temu parę powierzyło rozstrzygnięcie konkursu im. Szopena i od którego oczekuje dzieła sztuki pod postacią pomnika Mickiewicza — zrozumiał doskonale zadania rzeźby dekoracyjnej. Obecnie miał sposobność dać temu wyraz w powierzonych mu płaskorzeźbach, przeznaczonych dla dekorowania nowego teatru, powstającego przy *Champs Elysées* (Ar. Montaigne).

Teatr jest budowany w uproszczonym do minimum stylu Ludwika XVI. Jak wiemy, styl ten był reakcją przeciw kapryśnej arabeskowości stylu dwóch poprzednich Ludwików. W poszukiwaniu linii bardziej uproszczonej zwrócił się on do spokojnych form antycznych. Zwrot ten — wkońcu potężnie wypaczony — pozostawił jednak dzieła piękne w chwili swego rozwoju (Chalgrin, Peyre z architektów, dalej Riesener, twórca znanego biurka Louis XV, następnie przystosowujący się do kaprysu nowej mody i t. d.). W nowym teatrze des *Champs Elysées* zachowana możliwie spokojna prostota linii pozwala rozwinąć się korzystnie szerokim płaszczyznom rzeźb Bourdelle'a. Obecnie fronton przedstawia się imponująco; pożądanem byłoby, by nie przeładowano gmachu bezpotrzebnymi ozdobami z bronzów. — straciłyby na tem czystość i spokój linii.

Fasada gmachu, cała z białego marmuru, rysuje się w dużych, szerokich płaszczyznach. Na trzeciej części jej wysokości — wmiszczonych będzie symetrycznie pięć *panneaux*, pracy A. E. Bourdelle'a. Uosabiają one: *Muzykę, Taniec, Tragedyę, Komedję* oraz *Architekturę z Rzeźbą*.

Srodek gmachu zdobić będzie olbrzymi fryz, cztery metry wysoki, a umieszczony na wysokości siedemnastu metrów. Upostaciowwya on Apolla, za którym widać Natchnienie. Z obu stron środkowego fryzu dwa boczne przedstawiają pochod Muz. W gestach pięknych, archaicznych zbliżają się w hołdzie. Jedne z nich suną na kleczkach z nieśmiałą pokorą, inne podają się naprzód w gestach, pełnych zapалу i ekstazy. *Faliste*, *ciosane ostro*, włosy ich i *drape-rye* — stanowią przepiękną, bogatą dekorację i szlachetnymi liniami swymi wypełniają kompozycję. Twarze muz skupione, gesty hieratyczne.

Spójrzmy teraz na pięć bocznych *panneaux*, ujętych prawie kwadratami. Bardzo architektonalną jest *Komedya*: dwie kobiety — komedya antyczna i współczesna — zamieniają między sobą maski. W danej chwili wmiszczona już została w fasadę teatru. Piękna niesłychanie jest *Tragedya*: szerokie modelowanie ciała kobiety w dużych płaszczyznach zsyn-

teżowanych, niezwykle piękny gest rąk wyciągniętych Ifigenii, która w dobrowolnym poddaniu w ręce kapłana-ofiarnika miecz składa, wreszcie — postać ofiarnika, wypełniająca przeciwległą stronę narożnika płaskorzeźby — wszystko składa się na całość, skomponowaną niezwykle pięknie i dekoracyjnie.

Część trzecia poświęcona jest *Muzyce*. Faun, przygrywający na fujarce, personifikuje Muzykę antyczną, naprzeciw — Muzyka współczesna snuje melodie na skrzypcach.

W płaskorzeźbie *Taniec* widzimy w ruchu młodzieńca i kobietę. Wreszcie *Architektura* obrazuje niejako zasadniczą ideę łączności swej z rzeźbą: Młoda kobieta, wyobrażająca Architekturę, o rysach twarzy pięknych i rozumnych — trzyma w ręku cokół, na którym Rzeźba umieszcza statwę.

Strona techniczna płaskorzeźb opiera się na zrozumieniu szerokoplanej rzeźby bas-reliefów antycznej Grecji. Niema tu mowy o naśladownictwie. Nigdy może Bourdelle nie był bardziej szczerym, inspirującym się na naturze, nigdy może bardziej posłusznym głosowi własnej, indywidualnej twórczości. Widzi on naturę, obserwuje, stylizując ją jedynie zgodnie do wymagań dekoracyjnych.

Wpatrzony w swą wizję, chwytając ruch i rytm życia w tem, co jest w niem wiecznego i niezmiennego. Jednocześnie jest tu szczerłość artysty, wizja jasna i bezpośrednia, hieratyczność nie narzucona i bynajmniej nie sztuczna. Pomny na warunki materiału, wychodzi z płaszczyzny bryły, ciosze ją w liniach ostrych i zdecydowanych, spokojnych a szerokich, zdążając do pięknej syntezy. Niektóre z płaskorzeźb są już wmieszane w ramy gmachu i tam właśnie możemy się przekonać, ile dodają mu życia.

A. E. Bourdelle zamierza w danym gmachu wykonać innego rodzaju pracę: pokryć mianowicie *al fresco* ściany westibulu teatru.

Wiemy, iż rzeźbiarze wielkich epok niejednokrotnie chwytały za pędzel, — któż z nas nie zna potężnych, żywiołowych fresków Michała Anioła? Rzeźbiarz już z natury swej silniej, niż malarz, pojmuje i ujmuje bryłę, silniejszą więc jest u niego plastyka i ruch.

Jak się wywiąże z zadania Bourdelle? Miejmy nadzieję, że praca ta dorzuci nowy liść wawrzynu do poprzedniej sławy wielkiego artysty. Naturalnie, wynikiem jej nie omieszkamy w przyszłości podzielić się z czytelnikami „Świata“.

Parýż.

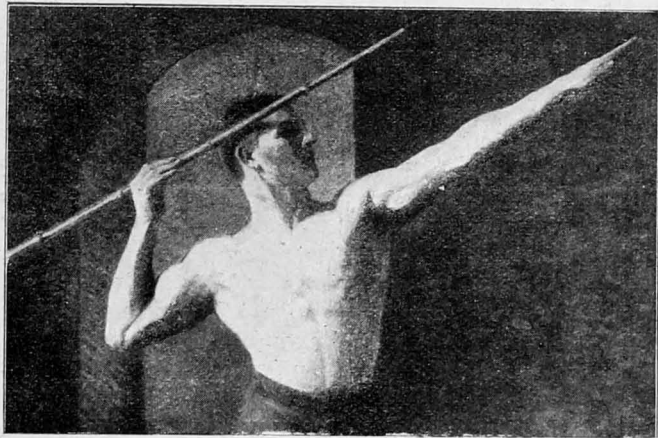
Wacława Kisłańska.

Wystawa „niezależnych” w Warszawie.

Pojęcie wystawy „Niezależnych” rozumieć należy mniej-więcej w ten sposób:

Mnóstwo młodych sił, bardzo gorących; więcej fantazyi, niż skłonności w technice; pomysły nadzwyczajne w swej przebujałości; młodość, urągająca rutynie, gardząca szkołą i poprawnością; zamiast tego — genialne rozczochranie... Ale zbiorowy obraz tego może być ciekawy, rokujący niejednemu piękną przyszłość. Oczywiście, przyszłość nastąpić może tylko pod warunkiem, jeśli dzisiejszy młody rozczochraniec dojdzie do przekonania, że jednak, bądź co bądź, uczyć się trzeba, i że, aby wejść na Parnas sztuki, nie wystarcza siedzieć w kawiarni na rogu i wymyślać od ostatnich Matejce, Brandtowi, Wyczółkowskiemu, Fałtowi, no — i różnym innym...

Przy urządzaniu i przy wyborze do Salonu sztuki z charakterem niezależnym chodzi zatem o umiejętne zestawienie takich dzieł, w których, obok pewnego niezrównoważenia formy, znać jednak rozmach i temperament — słowem, talent, choćby w zawiązku dopiero, w niejasnym przecuciu. Tak np. wśród kilku rzeczy



Helena Krasnosielska. Sokół.



Ryszard Okniński. Dziki.



Bronisław Kopczyński. Melancholia.



St. Jerzy Kozłowski. Rywale.



Rafała Nirnsteinówna. „Pan”.



Piotra Stachewicza. Główka.

Jana Trzaski, jego „Apasz”, zapalający fajkę, główka, dekoracja i studyum, pomimo pewnej szarży ku tak zw. szerokości pędzla, zdradzają poczucie rysunku i śmiałość. W karyksach kolorystycznych Stan. J. Kozłowskiego, o tematach przeważnie z nieprawdziwych zdarzeń, nawet zaświatowych, jest przecie pewna harmonia, fantazja, groteskowa może, ale nie karykaturalna, nie obrażająca poczucia kształtu i estetyki. Ludwika Gardowskiego „Maski paryskie”, będące szarżowanymi portretami osób z polskiej kolonii paryskiej, posiadają artystyczną miarę, nawet w swej przesadzie. Zyg. Nirnsteina karykatury znanych osobistości ze świata artystycznego i literackiego, oraz studyum, świadczą o prawdziwym talencie w kierunku charakterystycznym. Nawet pani Centnerszwerowej portrety, studia i krajobrazy, choć bardzo przesadzone w kierunku, który nazwijmy neoimpresjonistycznym, a dochodzące do takiej orgii zieloności, że stanowią budzą pewien niesmak, świadczą jednak o pewnej wprawie technicznej. Wymienimy jeszcze: p. Krasnosielskiej „Sokoła”, p. Nirnsteinówny rzeźbę „Pan”, A. Karpińskiego „Kokietkę”, Lindemana „Nimfy” — i kilka innych.

Pozatem doskonale dwie fantazje M. Wawrzeńckiego, który wśród „Niezależnych” zawsze jest na miejscu, łącząc fantastyczność tematu z gruntowną wiedzą malarską.

O innych uznanych i znanych, jak Vlast. Hofman, P. Stachewicz („Beatrice”), R. Okniński („Dziki”), Axentowicz, Alchimowicz, Wrzeszcz, Cichocki, Cieślowski, Wodzinowski, Pankiewicz i inni, zauważyć można, że choć ich rzeczy są niewątpliwie cenne, to jednak w salonie „Niezależnych” są trochę *hors concours*.

Pozatem, znajduje się w Salonie jeszcze całe mnóstwo (okazów jest przeszło 300) tego rodzaju „niezależnych”, o których tylko to jedno powiedzieć można, że pod względem technicznym są istotnie wcale nie przygotowane.

B.

Z literatury.

„Miłość mówi...”.

W małej, wykwintnej książeczce, w której się mimowoli szuka zapachu dobrych perfum, w ponętnej formie sonetu wynurzona, zamyka się ta wymowa miłości... Tytuł położyła autorka zwodniczy, na zwodniczo pięknym papierze. Gdy kobieta zwłaszcza kładzie to groźne godło na pierwszej karcie swej książki, można oczekiwać ze słusznym niepokojem, że przemówią do nas znowu echa wielkich wstrząśnień małego buduaru, albo zgoła księżycowe nastroje,



Zuzanna Rabska.

snujące się około odwiecznych trosk anemicznie zachwyconego serca. Lecz wcale nie. Tych poezji kobiecych nie trzeba czytać obowiązkowo w półświecie abażuru, ani szukać dla ich lekkości ram w smętnej, przedwieczornej ciszy. Mają one szczerzy dźwięk życia, znoszący wybornie każdą porę dnia; dają się odczytywać w plenerze.

Pani Zuzanna Rabska, zapisana w literaturze kilku tomami nowel, nastraja swój pierwszy zbiór poezji lirycznych (*) na ton najmniej konwencyonalny. Jej subiektywizm np. jest chwalebnie wstrzemięźliwy. Można by powiedzieć: jest to subiektywizm dobrze wychowany, co się o współczesnej poezji lirycznej zbyt często powtórzyć nie da. Nie zaprasza on czytelnika do uczt, której jedynym daniem jest uroczysta autoanaliza, główną przyprawą pobożny auto-pietyzm. Jeśli wprowadza nas do ogrodu indywidualnych wzruszeń, czyni to z miarą, właściwą prawdziwej kulturze duchowej: trącając lekko, jakby mimowoli furtkę, która do nich wiedzie. Poetka mówi o miłości. Lecz — co za szczęśliwy wypadek! Nie jest to, tym ra-

(*) Zuzanna Rabska: „Miłość mówi...” Poezje. Warszawa, 1913. Gebethner i Wolff.

zem, nieśmiertelnie gadatliwa, nigdy nieznużona, w każdym pokoleniu ludzkim nanowo wciąż uprawiana wymowa boskiego Erosa.

„Miłość” w zbiorze pani Rabskiej płynie ze źródeł, ku którym znacznie rzadziej schylają się dłonie literackiego liryzmu. Do wspólnego jej mianownika sprowadzone cztery cykle, zawarte w tomie, obejmują skalę szeroką i zabarwienie mają bogate w swej różnorodności. Autorka poświęca pamięci matki strofy, pełne tęsknoty i uwielbienia. To cykl pierwszy. Śnią się jej „królewskie dusze” Michała Anioła, Leonarda, Wagnera, Szopena, Mickiewicza, Napoleona... To cykl drugi. Musi poetka sięgnąć wysoko po wyraz doskonały i obraz silny, aby wypowiedzieć ukochanie swe tych typów bohaterów. I znajduje ów wyraz. Oto np. skoncentrowane odczucie wielkości Napoleona:

W Faraonów krainie, przed Sfinksa obliczem, słysząc, jak nocą mędrców długi spór się toczy o to, czy Bóg istnieje... słysząc, że Bóg — niczem... wsparł na gwiazdach swe dumne i zwycięskie oczy — „Niczem?” krzyknął. „A gwiazdy i światy kto stwarza?” ...Ale pytał — jak pyta Mocarz o Mocarza!...

Płynie przez poetyckie struny pani Rabskiej i gra na nich miłość doskonałego piękna i pełna litości miłość ludzkiej doliny łez. To trzeci cykl. Wśród mazowieckich łąków, na Gólgocie polskiej, widzi poetka snujący się cień Chrystusa, jak cierpi i pragnie jeszcze raz ponieść śmierć odkupicielską. „Nad grobem Hamleta” czuje się spokrewnioną z królewiczem duńskim, bo tak samo, jak on. „Życie przeklina i kocha — na zmianę!” Pustka na Heli: skrzydło Wsnomnienia traca dusze, zanurzona w bezkres... Na szczytach Nôtre-Dame słyszy poetka zastęglą rozmowę maskaronów, zawieszonych pod niebem Paryża, i przenikliwie rozumie każdy wvraz tej rozmowy. wykutej reka mistrza. Kocha „dusze nosagów” (przed rzeźbami Laszczki i Wittigera), kocha wizę pięknego gestu Petroniusza, towarzyszy wędrownikom Don Kiszota po nieśmiertelnym gościńcu złudy, który jest gościńcem każdej szczerzej wobraźni poetyckiej. Hymn ku czci życia miesza się często z niedopowiedzianym przekleństwem życia, jak przed antycznym zegarem kościoła Panny Maryi w Gdańsku:

...Wieczny zegar... Czekam na godzinę, co bić zacznie i powie mi wreszcie przyczynę meki wiecznej...

Lecz mówią: Ten zegar — nie bije...

Tak „płwną godzinę” własnych wrażeń i umiłowań. Z „cudzych ogrodów” zrywa jeszcze poetka pęk kwiecia, któremu daje świeże barwy wytwornego polskiego przekładu, a tu wznoszą się ponad inne sonety Elżbiety Barret-Browning swym prostoty pełnym tonem miłosnego oddania się.

Wyobraźnia poetycka pani Rabskiej ma silny pierwiastek refleksji,



która, nie tłumiąc sentymentu, ślizga się po nim często swym zimnym, lśniącem promieniem, jakby poetka wykonywała kontrolę nad światem swych uczuć. Najbardziej bezpośredni wyraz uczuciowy mają sonety, poświęcone pamięci matki, najsilniejsze niezawodnie w całym zbiorze, oryginalnie piękne przez samą rzadkość tematu, spokrewnionego z pierwszym uderzeniem skrzydeł wielkiej polskiej poezji. Wznosi się tu poetka na wyżyny najczystszej liryki i skończonego artyzmu słowa, które ze wszystkimi swymi odcieniami i dźwiękami idzie posłusznie w ślad za wielkim cierpieniem, pragnącym się uzewnętrznić.

Srebro drogiej Twej głowy i srebro księżycy z nocy owej przesmętnej wciąż jeszcze przyświeca i na serce, jak szrony białe, chłodne prósz...

Znużone i senne sączy się tu słowo żalu, jakby w wyczerpaniu swem nie mogło w tej chwili zdobyć się na nic, prócz zapamiętania się w wizji, która jawi się pamięci. Gdy odzyska swą moc, rzuci prześliczną dziecięcą skargę-wspomnienie:

Przeżywałaś me wszystkie młodości ekstazy, zawsze ze mną kochałaś, ze mną byłaś młoda!...

Lub, rozżalone i goryczą niepowrotności szczęścia przeniknięte, uderzy w to proste, a w prostocie swej właśnie tak wzruszające oskarżenie:

Miłość Twa na mą duszę kładła wciąż okowy, przemoc Twoja miłosna trwała ponademną — nauczyłaś mnie mówić Twemi tylko słowy... ..Ileż razy szarpałem miłosne kajdany, któremi duch boleśnie zdał mi się spętany! Dziś — tej samej niewoli pragnę, tak, jak życia!...

Są to dźwięki o pełnym poetyckim walorze.

Na dobro pani Rabskiej należy zapisać orok formy, nie uganijającej się za wyszukaną niezwykłością, odpowiadającej temu szczęśliwemu przesileniu, jakie się w poezji naszej coraz bardziej zaznacza, podobnie, jak na całym obszarze artystycznego życia. Szlifierstwo i żonglerstwo poetyckie znużyło nas... — powraca do swych praw zapomnianych kształt żywy, swobodny, bezpośrednio wcielony, choćby pozornie surowy, i czar jego uczymy się cenić nanowo. Jest to kultura formy, ale nie jej kult. Wiersz pani Rabskiej, szarmonizowany zawsze z nastrojem, muzycznie nieskazitelny, bogaty nieraz w plastyce, czerpie w tem niezawodnym źródle prawdziwego wykwiutu i piękna, jakim jest prostota, a więc i szczerść wyrazu.

Ch.

MUZY. Biblioteka literacko-artystyczna pod redakcją Jana Lorentowicza. Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie.

Miła jest rzeczą wśród wirów naszego życia społecznego, wśród jednolitej pogoni, wśród łatwych i bezcelowych zdobywczy, wśród piany i bąblów efemerycznych, spotkać się z prądem cichym, wy-

Kandydaci na stolicę arcybiskupią warszawską.

Według kursujących po mieście pogłosek, petersburski Departament Wyznań obcych przedstawił Ojcu św. na stolicę arcybiskupią warszawską trzech kandydatów: ks. Zygmunta Chelmińskiego, kanonika kapituły warszawskiej, znanego, powszechnie cenionego działacza społecznego, ks. kan. Kakowskiego, rektora Akademii duchownej w Petersburgu, i ks. Kluczyńskiego, regensa seminarium w Kielcach.



Ks. Zygmunt Chelmiński.



Ks. Kakowski.



Ks. Kluczyński.

kreślonym, świadomie dążącym do wielkiego zbiorowiska kultury wszechświatowej. Innymi słowy: mile jest spotkać się z trudem ludzkim, podjętym z najwyższą sumiennością celów nieprzelotnych, przypiętowanym wytrwałością i widokami mety odległej, lecz pewnej. Taki trud zawięść nie może, bowiem widoki tej odległej mety i wiara w dobro sprawy, tak szeroko zakreślona, jest właśnie owa siła, najbardziej zwycięską, pokrywającą swym nagromadzonym rozległe zbiornikiem i równym swym miarowym pochodem wszelki wir i wszelki wiór przygodny. Wrażenie takiej pracy sumiennej i takich zamierzeń rozległych musi otrzymać każdy, kto weźmie do rąk pierwsze trzy książki podjętej przez Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów, *Biblioteki Literacko-Artystycznej*, pod ogólnym tytułem: *Muzy*. Poza chętnością wydawców, niezbity, dział zasługi spada tu, oczywiście, na kierownika Biblioteki, Jana Lorentowicza, człowieka pod każdym względem powołanego do tak kulturalnej roboty. Po raz to pierwszy, rzecz można, ukazuje się u nas *popularne wydawnictwo* w szacie tak poważnej i tak wytwornej zarazem. Nie ustępuje ono najlepszym tego rodzaju wydawnictwom zagranicznym, owszem, prześciga je pod względem redakcji tekstów. Pierwsze trzy książki wydawnictwa *Muzy* odznaczają się trzema niepospolitemi zaletami: 1) tekst każdego wydawnictwa jest *krytyczny*, t. j. z dbałością zupełną ustanowiony i opatrzony przez ludzi odpowiedzialnych, o ile dotyczy on zmarłych polskich autorów; starannie i jaknajlepiej przetłumaczony, o ile dotyczy obcych autorów. Każdy przytem tom opatrzony poważną i sumienną przedmową. 2) szata zewnętrzna: druk, papier i oprawa — praktyczne, wytworne, poważne. 3) wydawnictwo względnie do tego, co daje i jak daje, jest niezmiernie tanie. Tom w oprawie wytwornej o 426 str. kosztuje rb. 1 kop 15, tom w takiej samej oprawie o 214 str., kosztuje 75 kop!

Pierwsze trzy tomy *Muz* zawierają: 1) Piotra Skargi *Kazania i pisma co najprzedniejsze*: wybrał, objaśnił i wstępem opatrzył Wiktor Gomulicki (z portretem Skargi). Cena w oprawie 1 r. 15 kop.

2) Augusta de Villiers de l'Isle Adam'a *Wybór nowel* — w przekładzie i ze wstęp-

pem Wacława Rogowicza. Cena w oprawie 90 kop.

3) Ernesta Renana: *Dyalogi i fragmenty filozoficzne*: przekład i słowo wstępne Grzegorza Glassa. Cena w oprawie 75 kop.

Najbliższe tomy zapowiadają: Wybór poezji Mieczysława Romanowskiego, *Antologię Satyry polskiej* (w opracowaniu Jana Lemańskiego), *Wybór poezji Ryszarda Berwińskiego*, „*Cyganeryę Warszawską*”: charakterystyka i antologia (obficie ilustrowana) w opracowaniu Jana Lorentowicza, „*Nieboską*” i „*Irydionę*” Zygmunta Krasińskiego, w opracowaniu Zdzisława Dębickiego, *Wybór opowieści Hoffmanna*, w opracowaniu A. Langego, „*Filozofię Sztuki*” Chrystiana Christiana, w przekładzie K. Drzewieckiego, *Wybór pism Felicjana Faleńskiego*, utwory Bourges'a, Carlyle'a i t. d. i t. d.

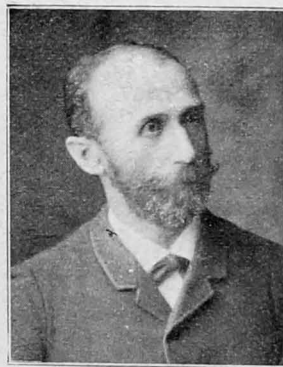
Nowemu wydawnictwu należy z całej duszy przyklasnąć, a jego redaktorowi złożyć całe należne uznanie za czyn pierwszorzędnej kultury.

Jota.

Jubileusz malarza.

Kaźm. Alchimowicz.

Przed pół wiekiem rozpoczął Kazimierz Alchimowicz swą karierę artystyczną. Przybywszy z rodzinnej Litwy, wstąpił do ówczesnej szkoły sztuk pięknych w Warszawie, gdzie był jednym z wybitnych i już wówczas obiecujących uczniów Wojciecha Gersona. Następnie kształcił się w akademii monachijskiej, której wpływ pozostał na jego



Kazimierz Alchimowicz.

dzielnym najsilniejszym. W długiej swej, a płodnej karierze artystycznej pociągały go najbardziej tematy z rodzi-

mej Litwy. Pod tem natchnieniem powstały: „Śmierć Margiera”, „Lizdejko”, „Ostatnie chwile Michała Gliškiego”, „Pogrzeb Gedymina”, a dalej w kierunku rodzajowym: sceny z życia ludu wiejskiego na Litwie, wnętrza chat tamtejszych, żniwa, dożynki i t. d. i t. d. Dzieła Alchimowicza cechuje uczucie, dążność do szlachetności tonu i wielka sumienność w technice.

Pomimo że zasłużony i utalentowany artysta obchodzi obecnie 50-lecie swej działalności, twórczość jego i pracowitość bynajmniej nie osłabły. a.

Z za kulis życia muzycznego Paryża.

Miasto-Światło, stolica Francji, ma dla świata całego dziwny, magiczny urok. Z najodleglejszych zakątków kuli ziemskiej wszyscy ci, co pragną szerszego polotu myśli lub działalności, ci także, którym się roją wielkie sny rozgłosu i sławy, biegną ku temu miastu, które zdaje się koncentrować w sobie tętno serca wszechświata. Artysty: muzycy, literaci, malarze i rzeźbiarze, mają wszyscy oczy zwrócone ku stolicy Francji. Jak ómy do światła, biegną tutaj i... osmalają swe skrzydła. Pragnąłbym dzisiaj w kilku słowach skreślić parę ostrzeżeń i rad dla artystów-muzyków, śpiewaków, pianistów, dla których, nie wiem zresztą, z jakiej racji, Paryż wydaje się ziemią obiecaną, decydującą sankcją talentu i sławy. Od lat siedmiu byłem w jednej z największych redakcji paryskich, aby ją nazwać po imieniu, w redakcji „Figara”, zastępcą krytyka muzycznego. Rozdzielaliśmy sprawozdania, a w czasie nieobecności jego, dość częstych zresztą, prowadziłem cały ten dział. Poznałem więc dokładnie zakulisowe życie muzyczne Paryża, fabrykę znakomitości, jaką jest wielkie pismo paryskie. Chciałbym bardzo, aby artyści nasi, którzy może czytać słowa moje będą, chcieli wierzyć, że piszę tych uwag parę w ich interesie najoczywiściej, aby im oszczędzić wielu przykrości i zawodów. W czasie mojej bytności w redakcji, w sezonie koncertowym, który zaczyna się w styczniu i kończy się w maju, miałem nieraz po kilka wizyt dziennie artystów przyjeżdżających z zagranicy, żeby dać się „poznać” w Paryżu. Wszyscy przychodzili do „Figara” z prośbą o wydelegowanie sprawozdawcy na koncert. Przynosili ze sobą bilety, „najlepsze miejsca”, recenzje z pism zagranicznych i...byli nieskończenie zasmuceni, gdy im oznajmiałem, że krytycy paryscy nie bywają na koncertach prywatnych. Istotnie tak jest. W Paryżu odbywają się dwa rodzaje koncertów: koncerty wirtuozów i wielkie koncerty towarzystw muzycznych. W tej kategorii znajdują się koncerty Colonne, Lamoureux, Konserwatorium, oraz koncerty Hasselmanns'a. Owe po-

piszy muzyczne płacą wielkim dziennikom dwojakie honorarium za drobne wzmianki z programem koncertu w dziale, zwanym „Kuryer muzyczny”, oraz umówioną cenę za sprawozdania tygodniowe, pisane i podpisane przez krytyka muzycznego w dziale sprawozdań muzycznych. Nie znaczy to bynajmniej, aby krytyk musiał z urzędu chwalić wszystko. Zostaje mu prawo indywidualnej oceny. Wszelako wchodzi tu w grę inny czynnik: nepotyzm, protekcja. Każda redakcja jest otoczona całą kohortą przyjaciół wpływowych, senatorów, deputowanych, pisarzy i t. d., którzy wstawiają się za tym lub owym kompozytorem, za tym lub innym solistą z owych wielkich koncertów. Wśród krytyków najostrzejszym i najlepiej piszącym, literacko rzeczy biorąc, jeśli nie najlepiej znającym się, jest Piotr Lalo, krytyk „Temps”. Jego oceny są zwykle szczerze, bardzo gwałtowne, nie szczędzące nikogo. Wszelako mięknie i on, gdy chodzi o p. Brèval, dla której wieleletni żywi sentyment. Często krytyki jego są atakami dopóty, dopóki p. Brèval nie otrzyma roli w jakiejś nowej operze. Niegdyś dowcipnie i dość szczerze pisał Willy (Henryk Sauthier - Villars). Wogóle jednak krytyka muzyczna w Paryżu nie istnieje. Właściwie mówiąc, ocena surowa, niezależna nie praktykuje się zgoła. Krytycy i kompozytorzy zwłaszcza są w zbyt skomplikowanych względem siebie stosunkach, aby ci krzywdzili tamtych. W ten lub inny sposób pokrzywdzony oddałby swą krzywdę w dotkliwy sposób złośliwemu Zoilowi. Sprawozdania tygodniowe z koncertów są więc poświęcone jedynie owym trzem wielkim stowarzyszeniom koncertowym. Istnieje oprócz tego wiele innych, nie mniej doniosłych grup muzycznych. Do najważniejszych należy stanowczo Paryskie Towarzystwo Filharmonijne, prowadzone przez p. Emanuela Rey. Są to najlepsze w Paryżu koncerty muzyki Kameralnej. Najwybitniejsi artyści biorą w nich udział, a jednak, pomimo swego rozgłosu, owe koncerty nie mają recenzji. Powód jest bardzo prosty: rozgłos ich skryztałizował się powoli, przez lata, uznanie przyszło i z niem stała klientela prawdziwych amatorów dobrej muzyki, ale ponieważ dyrektor nie starał się zjednać sobie krytyki, a zwłaszcza nie płacił wiele za wzmianki — pisma urządziły spisek milczenia, na czym jednak instytucja tym razem nie straciła. Towarzystwa Mozarta, Bacha, koncerty Schola Cantorum mają czasami, w nadzwyczajnych wypadkach, parę wierszy wzmianki po sprawozdaniach z wielkich koncertów. Kwestyi więc nie ulega, że tylko ci artyści, którzy produkują się na koncertach Colonne, Lamoureux albo Konserwatorium, mogą liczyć na sprawozdania, podpisane przez znanych krytyków. Inaczej zupełnie przedstawia się sprawa koncertów prywatnych, dawanych przez

wirtuozów miejscowych lub przyjezdnych. Koncerty te są urządzone przez liczne agencje muzyczne na koszt i ryzyko artysty. Cała sprawa polega wówczas na zapelnieniu sali. Wydaje się dziwnem, ale jest to faktem, niestety, że w Paryżu nikt nie kupuje biletów na koncerty. Każdy wirtuoz ma zwykle garść znajomych i przyjaciół, którzy biorą pewną ilość biletów, resztę sali zapelnąć należy za prośbami. Tu przejawia się zrzęcnosc i wartość agencji, jeśli kierownik jej ma duże i dobre stosunki, sala będzie elegancko „umeblowana”, w przeciwnym razie świeci pustkami, lub zapelniają ją konsyerżki i źle ubrana publiczność. W żadnym razie krytyka nie zjawia się na te koncerty. W wyjątkowych wypadkach, przez znajomość i protekcję, otrzymuje się sprawozdanie w „Figaro”, czasami w „Gaulois”. Agencje dają niekiedy notatki płatne po koncertach, lecz te ostatnie drukują się jedynie w „Kuryerze teatralnym i muzycznym”, czyli w rubryce płatnej. Średnio licząc, koszt koncertu wynosi od 500 do 800 franków. Rezultat moralny jest bardzo mały, o ile artysta nie przyjeżdża co rok, powoli formując sobie publiczność. Kreisler przez trzy czy cztery lata grał przed na wpół zapelnioną salą, Śliwiński teraz dopiero zdobywa sobie publiczność. Wielcy wirtuozowie zagraniczni, przywykli do entuzjazyzmów publiczności, nie mogą pojąć obojętności paryżan. Ale trzeba dodać, że w Paryżu odbywa się co wieczór 6—8 koncertów i że, gdy raz ktoś został zaadoptowanym i uznanym, powodzenie ma zapewnione. Izadora Duncan tańczyła przez trzy lata przed pustą salą. Obecnie trudno dostać bilet na jej przedstawienia, jakkolwiek ostatnio ów zapal stygnie bardzo. Jednym słowem, jeśli artysta-muzyk, pełen nadziei, ale o chudym trzosie marzy o zdobyciu Paryża, o krytyce paryskiej i t. d. — lepiej, by został pod rodzinną strzechą.

Paryż.

K. D-S.

35-lecie szefa banku.

W sobotę, d. 1 Marca liczni pracownicy znanego domu bankowego S. Natanson i Synowie składali życzenia i wyrazy uznania p. Kazimierzowi Natansonowi, współwłaścicielowi i głównemu szefowi firmy, z powodu 35-letniej pracy jego w tej firmie. Jubilatowi doręczono artystycznie wykonane adres i w przemówieniach podniesiono jego zasługi dla firmy i ogólniejsze na polu społecznym i filantropijnem.



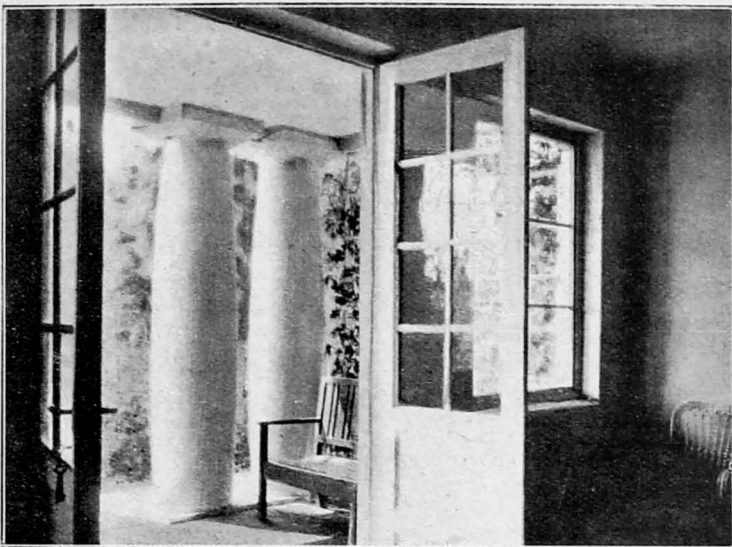
Kazimierz Natanson.



Karol Frycz. Pokój pani.



Edward Trojanowski. Sypialnia.



Józef Czajkowski. Fragment domu.



Henryk Uziębło. Jadalnia.

„Warsztaty krakowskie”.

Pod hasłem uszlachetnienia pracy przemysłowej przez łączne działanie sztuki, przemysłu i rękodzieła powstały „Warsztaty krakowskie”, pierwsze na ziemiach naszych zrzeszenie tego rodzaju, będące odgłosem tego wielkiego współczesnego ruchu, o którym H. Muthesius mówi, że droga jego prowadzi „od poduszki, rzuconej na szeszlony, aż do budowy miast”. Jest to już nie sztuka „stosowana do przemysłu”, lecz sztuka, przenikająca przemysł, i przemysł, ze sztuką zrośnięty w jedno.

Nie przeciwstawiamy go już dziś, zauważa o nowym ruchu niemiecki działacz w tej dziedzinie, A. Vetter, przemysłowi wogóle, ani produkcji fabrycznej, żądamy natomiast, aby każda rzecz była szlachetnie pomyślana i wykonana, bez względu na to, czy to rzecz skromna, czy bogata i zbytkowna. A nawet zależy szczególnie na tem, aby rzeczy skromne były szlachetne. Sztuka zaś nie ma być jakimś dodatkiem, przyczepionym do przedmiotu, jako coś, co może być, lub nie być. Nie, sztuka, czyli w tym wypadku pię-

kno zewnętrzne, wpływać musi organicznie z przedmiotu, jako wyraz jakościowej jego wartości. I przede wszystkim musimy ustalić jedną najważniejszą różnicę we wszystkim, co się produkuje: różnicę dobrej i złej rzeczy, różnicę dobrego i złego wykonania. Gdy to ustalimy, wówczas znajdziemy się już prosta droga, łącząca dobre rękodzieło z porządną wytwórczością maszynową, ze sztuką stosowaną, z techniką i sztuką budowniczą, a nawet z czystą

sztuką plastyczną. I wszystkie te dziedziny ludzkiej pracy utworzą jedną wielką nierozzerwalną całość.

Pod temi hasłami wchodzi w życie „Warsztaty krakowskie”. Uszlachetnienie pracy rękodzielniczej, stworzenie ścisłego zespołu artysty i rzemieślnika — to cel. Warsztaty — to ramy, w których do osiągnięcia tego celu zaprawiać się będzie twórczość polska, mająca tak wiele danych wewnętrznych, aby mógł współzawodniczyć z każdą, choćby najświetniejszą twórczością obcą. Organizacya, w postaci stowarzyszenia udziałowego, do którego przystąpiło kilkudziesięciu rękodzielników i artystów, oparta została o miejskie Muzeum techniczno-przemysłowe w Krakowie. Inicytorzy i założyciele, to artyści: Kazimierz Młodzianowski, Karol Homolacs, Włodzimierz Konieczny, Henryk Kunzek, Stanisław Getter i właściwy organizator i twórca dzieła, inż. Stanisław Till, dyrektor krakowskiego Muzeum techniczno-przemysłowego.

Piękna instytucya już zaczęła działać.

Mam w ręku jej ustawę. Mówi ona o stworzeniu centrum, w którym rzemieślnik polski i artysta zjedno-



Inż. Stanisław Till, prezes Rady nadz.



Kaźm. Młodzianowski, dyrektor warsztatów.

czą się dla wspólnej pracy twórczej. Dyrektor Till w rozmowie ustnej uzupełnia suchą wymowę statutu. Określa dokładniej pole zbliżenia się obu tych czynników. Rękodzielnik ma wykształcić się i zaprawić w warsztatach do doskonałej, nieskazitelnej, precyzyjnej roboty i racjonalnego użyciu materiału. Artysta pozna dokładnie naturę i technikę materiału i nauczy się projektować zgodnie z jego własnościami. Jest to założenie, wspólne wszystkim istniejącym dotychczas, zresztą nielicznym, warsztatom tego rodzaju za granicą. Natomiast organizacja krakowska jest do pewnego stopnia swoista, odmienna od tamtych.

Dyrektor Till objaśnia:

— Zrzeszenia podobne za granicą mają charakter bardziej prywatnych przedsiębiorstw i charakter wybitnie kapitalistyczny. Prowadzone są przy wydatkach ogromnych, niekiedy milionowych. Ten ich charakter przedsiębiorstw kapitalistycznych sprawia, że nie mogą one tworzyć idealnego zespołu artystów i rękodzielników. Tak jest mianowicie w warsztatach wiedeńskich i monachijskich, tak jest w Hellerau pod Dreznem, gdzie warsztaty takie stanowią jądro tego znanego miasteczka ogrodowego. U nas, stwarzając stowarzyszenie o podobnych celach, jak mają tamte warsztaty, naśladowictwo bezwzględne było wykluczone już z tego powodu, że my nie rozporządzamy nie tylko milionami, ale nawet krociami, i musieliśmy rzecz zastosować do naszych skromnych środków. I to właśnie wyszło nam w pewnym kierunku na dobre. Zamiast tworzyć własne warsztaty, które pochłonęłyby ogromne sumy, oparliśmy się na istniejących już warsztatach poszczególnych rękodzielników krakowskich, którzy są naszymi członkami, wyposażając je tylko we wzorowe mechaniczne urządzenia i czyniąc je temsamem zdolnymi do precyzyjnej pracy. Warsztaty te prowadzą ci rękodzielnicy na własne ryzyko, będąc, jako członkowie stowarzyszenia, obowiązani do wykonywania wszelkich prac dla nas i poddając się ścisłemu nadzorowi. Są to podstawy o wiele racjonalniejsze, niż te, na których oparła się rzecz za granicą. Nie mówiąc o tem, że strona finansowa została, dzięki temu, łatwiej rozwiązana, uniknęło się szkodliwej centralizacji, uniknęło się także stwarzania rękodzielnikom konkurencji, która musiałaby podcinać ich byt. Przy naszym systemie prowadzenia możemy tymczasem i wychowywać rękodzielników wzorowych, i wzmacniać ich gospodarczo...

Tak więc zyskała praca polska nową placówkę o niezmiernej doniosłości. Rękodzielnik, wytwarzający rzeczy doskonale i piękne, będące antytezą tandety i szablonu, jest w Krakowie zjawiskiem coraz częstszym. Stawał on pierwsze kroki pod natchnieniem i kierunkiem To-

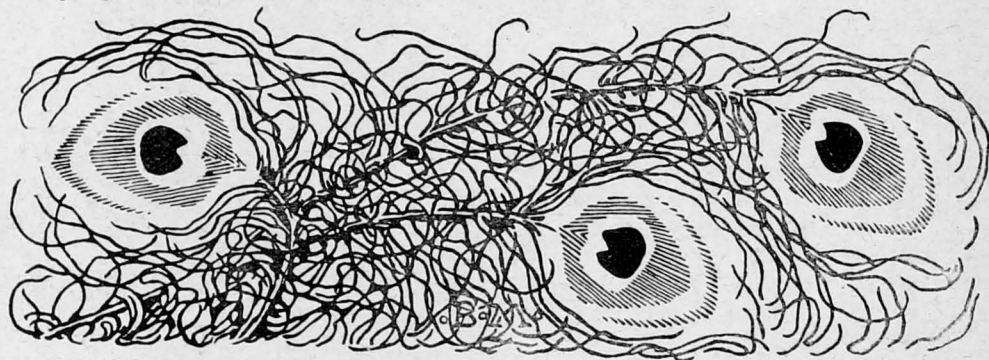
warzystwa Polskiej Sztuki Stosowanej, zapisał się już zaszczytnie udziałem swym w zeszłorocznej wystawie architektury w Krakowie. Zyskuje obecnie nowe szerokie pole dla doskonalenia się i pracy. Z drugiej strony, przygodny dotychczas udział artystów w tej pracy staje się systematycznym i celowym. Pierwiastek estetyczny, który wskutek tego coraz silniej przenikać będzie twórczość naszego rękodzielnika, musi wynikać z naszej rodzimej, polskiej odrębności. Należy jeszcze raz przytoczyć trafne słowa wspomnianego już wyżej niemieckiego działacza, który mówi: „Ruch ten musi być narodowym, musi oprzeć się na elementach kultury danego narodu; prawdziwa bowiem kultura może się tylko wówczas rozwinąć, gdy naród ów w poczuciu własnej godności styl swój rodzimy pielęgnować i ochraniać będzie, choćby styl ten był mniej wytworny, niż obcy”. Styl, to znaczy: swą odrębność w pojmowaniu i przejawianiu piękna. Ta idea właśnie przyświeca twórcom i kierowni-

kom „Warsztatów krakowskich“, którzy rozumieją, jak bogate zasoby artystyczne spoczywają w duszy polskiej.

Trudniejszą jest u nas sprawa wytworzenia atmosfery, sprzyjającej młodemu ruchowi. Gdzieindziej rozstrzygająco mogą oddziaływać na uszlachetnioną produkcję rękodzielniczą państwa i wielkie gminy, ci najwięksi konsumenci, posiadający i środki odpowiednie, i swobodę działania, nie podlegający pokusie jednostek, zwłaszcza z pośród klas niższych, pokusie tak trudnej nieraz do uniknięcia, ludzenia siebie i innych pozornym upodobnieniem się do wyższych warstw przez otaczanie się taniemi surogatami rzeczy, przez te wyższe warstwy używanych. My nie mamy państwa. Także w gminach naszych nie wszędzie możemy rządzić. Tem większy obowiązek opieki nad młodym ruchem spada u nas na wszystkich, którzy miłują piękno i posiadają środki, aby się móżdżem tem pięknem otoczyć.

Kraków.

Clar.



Robotnicy bez pracy w Łodzi.

Sezon zimowy w przemyśle zawiódł rokowane nadzieje. Rozpoczął się sezon pożarów fabryk, pozbawiając pracy za jednym podmuchem całe rzesze robotników. Ustały pożary, poczęto redukować pracę do 3—4 dni w tygodniu, zamykać fabryki na czas nieograniczony i ogłaszać upadłości.

Dwadzieścia cztery tysiące robotników fabrycznych pozbawionych zostało zarobku normalnego, a cztery tysiące pozostało bez pracy i sposobu do życia.

Widmo głodu ukazało swe straszne oblicze w całej pełni. Nieodstępna towarzysza nieszczęśliwych, której Nędza na imię, zakradła się do mieszkań robotniczych. A robotnicy bez pracy, obarczeni rodziną, oblegali początkowo lombardy, zastawiając, co kto miał wartościowego; wreszcie sprzedawali handlarzom przedstawiającą jakąkolwiek wartość garderobę, by nie pozwolić członkom swej rodziny przymierać z głodu.

Wielu robotników poczęło kołatać do



Ks. prob. Gniazdowski.

Przed kancelaryą kościoła P. Maryi rzesze głodnych robotników.

Zpośród główniejszych działaczy łódzkich.



Inż. H. Janota-Bzowski.



W. Hordliczka.



Pastor Gundelach.



P. Meyerhoff.



P. Świerczewski.

mieszkań zamożnych i sklepów, prosząc o jałmużnę. Zebrano nawet w nocy.

Nędza i głód poczęły zataczać coraz szersze kręgi.

Pisma miejscowe zaprowadziły stałą rubrykę wypadków „z głodu”.

Wówczas czuły zawsze na niedolę ludzką, znany wszystkim działacz społeczny, pastor Gundelach, prezes Chrześcijańskiego Towarzystwa Dobroczynności, na zwołanym nadzwyczajnym zebraniu członków tego Towarzystwa w d. 24 stycznia wezwał obecnych do podjęcia akcji ratunkowej dla pozbawionych pracy robotników. Utworzono na temże zebraniu Komitet obywatelski, podzielony na dwie grupy: Komitet honorowy i Komitet wykonawczy, i w kilka dni po uzyskaniu pozwolenia władzy przystąpiono do pracy.

Na czele obydwóch Komitetów stanął pastor Gundelach, zaś do Komitetu wykonawczego wybrani zostali: na prezesa p. Daube, na vice-prezesów pp.: Aleksander Roszkowski i dr. Stanisław Skalski, na skarbnika p. Hordliczka. Miasto podzielił inżynier miejski, p. Bzowski, uprzednio na 11, później na 12 obwodów, w których ustanowiono po 2 przewodniczących w Komitetach obwodowych, złożonych z kilku lub kilkunastu osób, zaproszonych zśród inteligencji i robotników. Osobom tym wydzielono rewiry dla wyszukiwania rodzin, istotnie potrzebujących pomocy. Wyplacanie zapomóg powierzono przewodniczącym w Komitetach obwodowych.

Komitet honorowy zajął się zbieraniem ofiar.

Gdy w ten sposób zorganizowano

pomoc doraźną, ktoś usiłował sparaliżować akcję ratunkową i źle usposobił pewną grupę robotników do Komitetu obywatelskiego. Grupa ta zwołała ogólne zebranie i postanowiła działać na własną rękę, tworząc nowy Komitet robotniczy. Wysłani jednak przez tę grupę robotników na zebranie Komitetu obywatelskiego delegaci, przekonawszy się o szczerze i owocnej jego pracy, nakłonili robotników do wspólnej pracy z Komitetem obywatelskim.

Wówczas poprowadzono pracę ze zdwojoną energią i widmo głodu w porę zażegnano. Dotąd zebrano około 60,000 rb. ofiar, przeważnie od firm zamożnych, rozdano zaś zapomóg około 20,000 rb.

Komitet obywatelski wystarał się nadto o pracę dla robotników przy robotach miejskich, mianowicie: przy przeprowadzeniu kanałów ściekowych, brukowaniu ulic i t. p. Roboty te, obliczone na 100,000 rb. rozpoczęte zostaną z wiosną. Niezależnie od tego, uzyskał 500 bezpłatnych biletów kolejowych dla robotników, udających się na roboty do Prus. Na skutek rozesłanych przez Komitet listów do obywateli ziemskich, napływają ze wszęch stron zamówienia na robotników do robót rolnych.

Wyplacane obecnie zapomogi, w stosunku 25 kop. dziennie na osobę dorosłą i 10 kop. na dziecko, wynoszą około 6,000 rb. tygodniowo.

Najwięcej zapomóg otrzymuje północna dzielnica podmiejska (Bałuty, Żubardź, Stare Miasto i t. d.) i południowa dzielnica (ul. Rzgowska, Zarzewska i t. d.).

Łódź.

Eug. W.

Wojna na Bałkanach.

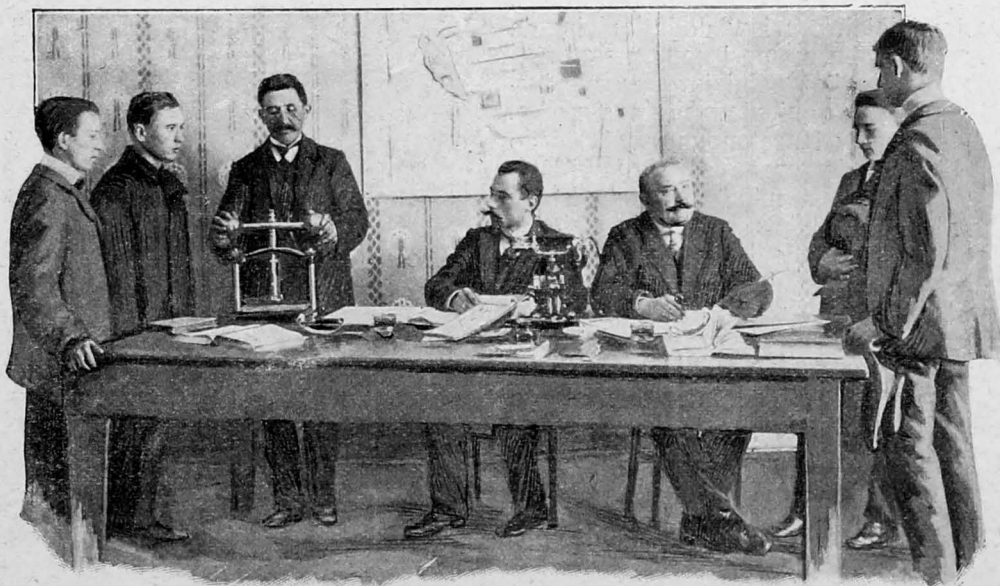
Dookoła Adrianopola.

Adrianopol stanowi fortecę pierwszorzędną. Na kilka lat przed wojną bułgarską zaopatrzone go w osiem potężnych fortów nowoczesnych, a niezależnie od tego broniony jest przez pierścień redut i baterii ziemnych. Ogółem znajduje się w całej twierdzy kilkadziesiąt wielkich dział fortecznych i paręset mniejszych; liczba wszystkich dział dochodzi do 400.

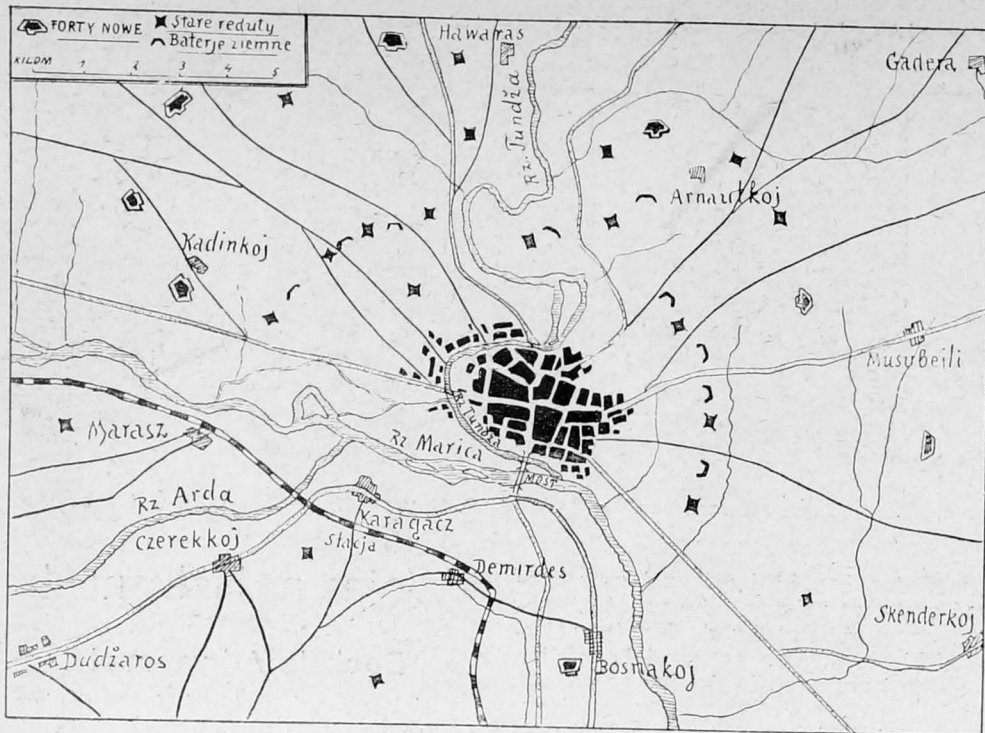
Z telegramów, często sprzecznych i fantastycznych, nie można sobie wyrobić pojęcia o oblężeniu twierdzy nowoczesnej. Oblężenie w dzisiejszych warunkach jest operacją bardzo skomplikowaną. Zdobywanie fortec nie odbywa się nagle, lecz bywa wynikiem specjalnych przygotowań i dłuższej pracy, rozwijającej się logicznie na zasadach nauki wojskowej. Specjalista to rozumie, ale czytelnik przeciętny gubi się w domysłach.

Pierwszy warunek, aby fortecę zdobyć, polega na odrzuceniu od niej armii nieprzyjacielskich. Bułgarzy od tego zaczęli. Drugi warunek polega na otoczeniu fortecy linią wojsk, by ją odciąć od wszelkiego dowozu. Bułgarzy to uczynili już w końcu października. Linia kolistą wojsk bułgarskich, a obecnie i serbskich, okalająca fortecę, wynosiła blisko 80 kilometrów; dziś się zwięzła. Żaden człowiek nie może jej bezkarnie przekroczyć. Przed każdym z wielkich fortów leżą w okopach pułki bułgarskie i serbskie, pod osłoną armat oblężniczych. Pociski padają na betonowe i stalowe osłony fortów, nadwyrażając stopniowo ich zdolność obronną. Gdzie można, oblegający posuwają swoje okopy bliżej fortów i miasta, tworząc własne forty polowe. Tak trwało oblężenie przez cztery miesiące i trwa obecnie, przyczem z niektórych punktów bułgarom udaje się ostrzeliwać samo miasto.

Ażeby zdobyć fortecę, należy zniszczyć dwa obok siebie leżące forty główne, czyli tak zwany sektor. Takie forty mogą być zniszczone przez olbrzymie działa oblężnicze, a jeszcze skuteczniej przez długie podkopy i wysadzenie w powietrze. Potem dopiero następuje atak. Tym sposobem tworzy się wyrwa w linii fortów głównych. Turcy musieliby tę wyrwę zabezpieczyć jak największą ilością wojska i największą ilością dział, gdyż w taką wyrwę bułgarowie rzuciliby przeważające siły, które, po przełamaniu drugiej linii baterii ziemnych, wdarłyby się do miasta, o ile ono nie kapitulowałoby przedtem.



Biurow bezpłatnej rekomendacji pracy nie wiele ma do roboty; kandydatów jest wielu a pracy coraz mniej.
Zdjęcie specjalnego delegata „Świata”, p. Maryana Fuksa.



Mapka fortów oblężonego Adrianopola.

Bułgarowie czynią takie przygotowania do zniszczenia jakiegoś południowego sektora fortecy, bo linia fortów jest tam słabsza, najsłabszym zaś punktem są okolice stacji kolejowej Karagacz i fortu Bostnakoj. Stąd przypuszczony następnym szturmem, bez którego upadek fortecy nastąpić może tylko wraz z zupełnego wyczerpania żywności i amunicji, w którą zresztą Adrianopol został dość obficie zaopatrzony przed wojną.

Adrianopol, dla Turków Edirne, dla Bułgarów Odrin, jest ważnym punktem handlowym i strategicznym, a przytem kluczem żywnego wilajetu starożytnej bułgarskiej Tracji.

Rząd turecki, po przewrocie, dokonanym przez Enwer-beja, odpowiedział na notę Europy, że zgadza się odstąpić Bułgarii przedmieście Adrianopola, położone za rzeką Tundżą, zostawiając sobie miasto. Była to propozycja całkiem nielogiczna, zważywszy, że od Adrianopola bułgarowie zdobyli całe terytorium Tracji aż pod sam prawie Konstantynopol, znacząc 180 kilometrów swoją krwią, bo dziesiątkami tysięcy poległych w kilku wielkich bitwach. Wszystkie sześć wielkich mocarstw Europy przyznały Adrianopol Bułgarii. Chodzi tylko o zgodę Turcji samej, co prawdopodobnie nastąpi. *Podchoraży.*

Z teatrów warszawskich.

„Pani Bella”, komedia w 4-ach aktach Tadeusza Konczyńskiego.

Po „Srebrnych szczytach” i „Straceniach”, cieszących się niedawno dużym powodzeniem na wszystkich prawie scenach polskich, ostatnia komedia Konczyńskiego, p. t. „Pani Bella”, jest pewnego rodzaju kaprysem autorskim, niezbyt szczęśliwym. Odnosi się wrażenie, jakgdyby autor nie mógł się zdecydować, czy pisze komedię, czy farsę. Stąd pewna mieszanina różnych dźwięków, przechodzących miejscami w dysonans, pewna chaotyczność stylów, składających się razem na rodzaj dziwnego rokoka.

W świecie, w który nas autor

wprowadza, mającym przedstawiać inteligentne i zamożne mieszczaństwo galicyjskie, panują trochę niezrozumiałe stosunki i konwenanse towarzyskie. Bohaterka i *spiritus movens* sztuki, sama pani Bella, jest nowabna, jest seperatka, jest kokietka, a posiadając przytem miliony, postawiła sobie chwilowo dwa cele w życiu: uzyskać legalny rozwód ze swym mężem i posiadać Salon z aspiracjami naukowo-literackimi, nie szczędząc przytem obfitych datków na różne niezbyt jasno określone cele naukowe. Słowem: *lionne, double d'une bourgeoisie*. Lub na odwrót...

Czemu wyszła za idyotycznego arlekiną, jakim był jej ex-mąż? Bo, jak sama mówi: „kłamał, że swe obrazy wystawi w Paryżu”. Błazen ten, którego ideałem jest: malować równocześnie obraz i śpiewać kuplety w kabarecie — zastanawia głównie przez to, że wchodzi co chwila, pomimo toczącego się procesu rozwodowego, do salonu swej ex-zony, grozi palcem na nosie: „no-no-no... jej wielbicielem i w dodatku ciągnie tam za sobą mamę i papę, nagabujących w najbezcześniejszy sposób byłą synową o pieniądze dla synalka. Adoratorów i pretendentów, bądź do ręki, bądź do serca, posiada pani Bella kilku. Jest młody chemik, który u niej widocznie mieszka, bo założył sobie, tuż obok jej salonu, gabinet chemiczny do doświadczeń naukowych. Jest, z nieprawdziwego zdarzenia, baron dyplomata. Jest adwokat, prowadzący właśnie proces pani Belli, który jednak, korzystając z tego, że klientka przyszła do niego na poradę prawną, zamyka nagle swój gabinet urzędowy i — bylibyśmy świadkami gwałtownej sceny, gdyby pani Bella nie była się obroniła nienabitym rewolwerem. Jest narazie profesor bez katedry — coś z gatunku ministra bez teki — który,

za pomocą lichej blagi i jakichś neo-makaronistycznych frazesów chce najpierw panią Bellę „zasugestyonować spirytualnie”, aby później zawiadnąć nią w sposób „seksualno-korporalny”... Na szczęście, stoi w salonie pani Belli maszyna, napompowana prądem elektrycznym, i w chwili, kiedy profesor zamierza, niemal przemocą, skłonić ją do: „ekstazy obediencyi”, ona wkłada mu do rąk dwa końce prądu i — profesor, wijąc się z bólu, tańczy na jej rozkaz walca... Poza tem zresztą robimy znajomość z wdową po generale, która wchodzi do salonu pani Belli i oświadcza kategorycznie: „Nie zabieraj mi go pani, bo on jest mój, a pensję profesorską ja mu tymczasem wypłacam”...

Więc pozostaje tylko naiwny chemik, który, przekonawszy się, mniej więcej w czwartym akcie, że właściwie i on się w pani Belli kocha, umył się, uczesał, ubrał w nowy garnitur i oświadczył. Zostaje przyjęty i — koniec...

Trudno obronić się od refleksyi: jaka szkoda, że młody uczonek namyślał się tak długo, zwłaszcza, że już przy podniesieniu kurtyny w akcie pierwszym, widzimy go zupełnie w domu swej protektorki zainstalowanym...

Najlepsze siły naszej pierwszej sceny brały udział w tym trudnym turnieju. Panna Pichorówna dokładała wszelkich sił, aby uczynić bohaterkę ponętą i prawdopodobną. Dzięki talentowi, zrobiła bardzo dużo. Na resztę ról złożyły się panie: Sulima, Żółkowska i Micińska, oraz pp.: Rappacki, Frenkiel, Wojdałowicz, Brydziński, Sliwicki, Owerłto i Kowalski.



Fot. Malarskiej Tavrell. F. Pichor („Pani Bella”)

TEATR MAŁY. Ostatnią nowością sceny teatru w Filharmonii jest 3-aktowa komedia z niemieckiego p. t. „Pamiętnik młodej mężatki”. Autor, Lotar Schmidt, nie tylko przenosi akcję sztuki na teren belgijsko-francuski, ale ma coś w sobie z francuskiego zacięcia. Pomysł oryginalny: Młoda mężatka, autorka pamiętnika, ma starego męża, flirtuje, jak się zdaje, w sposób wcale nie niewinny z przystojnym sąsiadem i wogóle ma pozory tak lekkie i powiewne, że niktby jej o talent pisarski nie posądzał. Tymczasem pamiętnik, o którego autorce nie wie nikt, prócz jej samej i wydawcy, robi hałas w świecie literackim, tak, że ma kilka wydań. Autorka w tajemnicy jedzie do Paryża, by odebrać honorarium. Eskapada wydaje się. Równocześnie opuścił dom i romansowy sąsiad. A więc mąż jej i żona jego domyślają się prawdy: „Masz z nim romans?”... Milczenie. „A skąd te 6,000 franków, które znalazłem w twym biurku?”... Milczenie. Nareszcie zjawia się niespodzianie sam wydawca. Sprawa się wyjaśnia. Owe 6,000 franków pochodzą z „Pamiętnika”. Tak — ale romansik był naprawdę. Jednakże autorka „Pamiętnika” dość jest sprytną — beletrystyka wprawia w kłopot — żeby się ze wszystkiego cudownie wykręcić i żeby wesoła sztuka w dramacie nie przeszła.

Kilka momentów bardzo szczęśliwie pomyślanych. Jest w tem i trochę dobrze odczutej psychologii, zwłaszcza kobiecej. Grano — trochę po amatorsku, ale nie bez pewnego wdzięku, uosobionego przez p. M. Kamińską w roli głównej i p. Dunikowską w roli pobłażającej, ale w gruncie zazdrosnej żony. Pani Wierzejska ma stanowczo talent do ról charakterystycznych. Pp. Szarski i Neubelt grali poprawnie. a.

Jubileusz artysty.

W tych dniach obchodził 25-letni jubileusz pobytu i owocnej działalności na scenie teatru poznańskiego, p. Stanisław Czerniak. Utalentowanemu i zasłużonemu w teatrze naszym artyście zgotowano z tego powodu serdeczną owację ze strony publiczności i kolegów, przy czem otrzymał mnóstwo kwiatów, wieńców i telegramów z różnych stron Polski.



Stanisław Czerniak.
Poznań. K.

Z muzyki.

Żywe zainteresowanie wśród melomanów prawdziwych naszego miasta wywołały koncerty kameralne, zapoczątkowane od niedawna w nowourządzonej Sali firmy „Herman i Grossman”.

Wiadomo, że zespoły instrumentalne, złożone z kilku tylko głosów, stanowią pole odrębne i niezwykle wdzięczne do pięknych i misternych splotów polifonicznych, z których najwięksi mistrze urabiali swoje arcydzieła, stanowiące źródło rozkoszy niewysłowionych dla każdej duszy muzycznej.

Kameralna muzyka wymaga jednak znakomitego przygotowania i wykona-



Nowy kwartet warszawski: pp. J. Ozimiński, Wenty, Eli Kochański, Andrzejowski*

nia, aby wywołać efekt prawdziwie artystyczny, powinna też odbywać się w pomieszczeniach niezbyt wielkich i odpowiednio akustycznych.

Całości tych warunków brakowało dotychczas Warszawie.

Z prawdziwą radością witamy więc nowy zespół, który w przeszlicznej Sali „Herman i Grossman” dał nam już dwie uczty artystyczne.

Skrzypce reprezentują p. Andrzejowski i Ozimiński, altówkę p. Wenty, wiolonczelę — p. Eli Kochański, a na cudnie brzmiącym Bechsteinie popisuje się p. Familierówna.

Jest to zespół pierwszorzędny, któremu należy wróżyć powodzenie trwałe. *Bemol.*

Na raucie-koncertcie, urządzonym w zeszłym tygodniu na ochronę im. Kopnickiej, wystąpił prof. Zygmunt Chluski, wybitny pianista, uczeń Leszetyckiego i Melcera. Technika niepospolita i odczucie ducha utworów zjednały koncertantowi całkowite uznanie słuchaczy.



Prof. Zygmunt Chluski.

chowuje długi szereg pokoleń dziatwy i młodzieży polskiej. Stary, kochany „Przyjaciel”, bez którego obyć się byłoby niepodobieństwem, którego w sobotę czy w niedzielę tyle tysięcy młodych istot wyczekuje z niecierpliwością.



Pani Tekla Trapszo-Krywultowa.

Nagle przyciszają się szmery, milkną szepty. Przed rozciekawioną dziatwą staje znakomita artystka dramatyczna, świetna przedstawicielka najpoetyczniejszych postaci naszej literatury dramatycznej, p. Tekla Trapszo-Krywultowa. I dźwięcznym miłym głosem zaczyna opowiadać historię o „Zosi w krainie śnieżek”. Mówi tak, jak może mówić szczerą artystką, która zarazem jest matką. Tam, w trzecim czy czwartym rzędzie, siedzi mała dziewczynka, z oczętami wlepionymi w opowiadającą. I pewno дума pierś jej rozpiera... Audytorium słucha. Jak słucha! Czasem zabrzmia srebrne śmiechy. Czasem ozwie się westchnienie, stłumiony okrzyk. Rozkoszne, wzruszająco miłe audytorium!

Potem jedna z redaktorek „Przyjaciela Dzieci” wtajemnicza słuchaczy w te cuda przyrody, jakie przedstawia łąka polska, barwna, pachnąca, życia dziwnego pełna. Niekiedy zwraca się do słuchaczy z pytaniem. Padają szybkie odpowiedzi, przeważnie bardzo trafne. Zaś na wielkim białym ekranie przesuwa się barwne obrazy, ilustrujące baśni i opowiadania. Jakie objawy zadowolenia, jakie oklaski! Wdzięczną publiczność ma na swych przyjęciach „Przyjaciel Dzieci”.

SPRZEDAŻ, WYNAJEM. **HERMAN I GROSSMAN** MAZOWIECKA 15 GENNIKI BEZPŁATNIE.

Małoletni prenumeratory w redakcji „Przyjaciela Dzieci”.

Setka z górą główek jasnych i ciemnych. W oczach ciekawość i zarazem pewna powaga: Przybyliśmy tu przeciw do swego pisma. Do swojej redakcji. Zaprosił nas „Przyjaciel Dzieci” na bajki i opowiadania. Ten „Przyjaciel Dzieci”, co już od pół wieku poucza, bawi, wy-



Leon Suchowiak.

„Szopka” poznańska.

Po Krakowie i Warszawie przyszła kolej na „Szopkę” i w Poznaniu. Niedawno jeszcze niktby nie przypuszczał, że coś podobnego jest wogóle możliwym w tym apatycznym Poznaniu, gdzie każdy myśli tylko o zarobieniu lub zaoszczęd-



Stanisław Pawlak.

dzeniu jeszcze jednej marki więcej. W tym nastroju ducha i uczucia niema miejsca na wyższe porywy, a dowcip w tych warunkach bywa ciężki i tępy. I na nim czuć wpływ germanizmu.

A jednak „Szopka” była dobra. Wzięło się do niej 4 ludzi. „Boy'em” poznańskim był Leon Suchowiak (pseud. „Licho”), karykaturzystą Stefan Sonnewendt, według którego pomysłów wykonał kukły rzeźbiarz, Sylwester Mańczak, a muzykę dorobił Stan. Pawlak. Tło: miniaturowy ratusz poznański.

Szopka się udała. Była satyryczna, ale nie ordynarna; cięła w prawo i w le-



Sylwester Mańczak.

wo: i w kasyno, i w Związek narodowy, i w endeków, i w różne osobistości wybitne, lub fokie, którym się wydaje, że są wybitne — nikogo nie zadrasnęła w sposób niedelikatny, zbyt prywatny... Podobala się ogólnie, z wyjątkiem chyba tych, którzy się po małomiejsku — obrazili.

Poznań.

Humor i Satyra.

Zamiast pojedynku.

Pan Izidor Finesbube, znany w całej Łodzi-mieście, miał okrągły roczny dochód: sto tysięcy, może dwieście. Choć był już niezbyt młody, przeszedł bowiem wiek lato, ożenił się z młodą Różą, no, bo stać go było na to. Zrazu w młodem tem małżeństwie wszystko dobrze szło, jak słyhać, wkrótce jednak piękna żonka jęła czegoś tęsknić, wzdychać, bo snąc myślał pan Izidor, zaślubiając panią Różę, że ożenić się, to samo jest — co robić w apreturze.

W biurze pana Izydora był pan Jakób, miła postać, wkrótce, według planu szefa, prokurentem miał on zostać. Oprócz tego, że w kantorze miał z księgami duże trudy, obowiązkiem jego było, by szefowej skracać nudy, bo był zdania pan Izidor, człek praktyczny aż do kości, że złe myśli lgną do głowy, gdy kobieta w samotności.

Więc gdy tylko szef wyjeżdżał, czy na giełdę, czy po zakup, wnet u boku pani Róży stale zjawiał się pan Jakób. Do przybycia pana domu szybko schodził im czas feryi, gawędzili mile z sobą na tematy buchalteryi. Pani Róża i pan Jakób najszcześliwsi byli z ludzi, kontent też był pan Izidor, że mu żonka się nie nudzi. Raz, gdy wrócił wcześniej z miasta, stanął, groźnie okiem błyska... Co się stało? Na kanapie panią Różę Jakób ścisła! Poczzerwiał pan Izidor, jakby go odurzył trunek, i zawołał:

— Panie Jakób! Pan obciążasz mój rachunek! Ładny z pana jest buchalter, źle wpisujesz pan pozycye! Ja... ja tego nie daruję, każe posłać po policyę! Albo nie! Bo cięższej kary wart jest niecny twój uczynek: przyślę panu sekundantów... pojedynek! pojedynek!

Gdy ochłonął pan Izidor i ochłodził krew swą wrzącą, po rozwadze wywnioskował, że wziął sprawę zbyt gorąco.

— Pojedynek — myślał sobie — co się tutaj ludzić, manić?... On mnie może pokaleczyć, albo nawet na śmierć zranić. Pojedynek o kobietę... będzie w Łodzi gwałt i skwers. To mnie wcale nie wypada, całkiem głupi to interes. Ja inaczej muszę zrobić, mam już w głowie plan ukryty, żeby honor mój był cały i ten wilk... ten Jakób syty.

— ażeł wezwać winowajcę, który kram ten mu przyczynia, i rzekł doń:

— Ja panu powiem... że pan jesteście trochę świnia. No, nie ciskaj się pan z gniewem i nie podnoś głowy w górę... Czy pan miał plenipotencyę? Czym już panu dał prokurę? Chciałem z panem pojedyunku, bo jest we mnie krew, nie woda, ale mógłbym pana zabić, a mnie pana trochę szkoda. Więc daruję panu życie, i nie zrobię cię kaleką, ale musisz pan natychmiast jechać w podróż gdzieś daleko. Musisz przebyć w tej podróży rok przynajmniej albo więcej...

— Goły jestem, panie szefie.

— Ja ci daję sześć tysięcy. Jedź pan sobie na łeb zbity, ale zaraz, coûte - que coûte - que, lecz o naszym interesie ciesz się... gębę weź na kłódkę.

Wzniósł pan Jakób wzrok na szefa, podziękował mu ukłonem, a szef puścił dym z cygara i mentorskim wyrzekł tonem:

— Wierz mi, młody mój człowieku, doświadczenie ja mam duże i wiem, że nie młodych ludzi tak nie kształci, jak podróżę.

Krogulec.



Hypnotyzm.

Iks badał bezustannie
Wciąż hypnotyzmu kwestyę,
Aż się zakochał w pannie
Przez autosugestyę.

Był w wielkim ambarasie,
Gdy uczył faktu grozę,
I w bardzo krótkim czasie
W zupełną wpadł hypnozę.

Za trans ten wnet zapłacił
Zbyt drogą karą gości:
Oświadczył się, gdy stracił
Stan swojej świadomości.

Od tej fatalnej pory
Fatalnej doznał doli:
Ożenił się — i chory
Na ciężką niemoc woli.



Przedstawiciel F. Jankowski.

Restauracya Hotelu Brühlowskiego
właściciel Jan Szeptycki 6984

PRZECHOWANIE MEBLI
w DOMACH WŁASNYCH
OPAKOWANIE i PRZEPROWADZKI MEBLI
KRAKÓW, PRZEDM. 38, TEL. 11-22
TWO SYRENA



W ubiegłym tygodniu otwarto trzytygodniową wystawę zabawek i lalek w Częstochowie. W czterech salach pięknego gmachu Tow. Pożyczk. Oszczędnosciowego w centrum miasta umieszczono szereg okazów, nadesłanych z miasta oraz z Warszawy na zaproszenie Tow. Opieki Szkolnej gub. Piotrkowskiej.

Prócz okazów warszawskich, zwraca

cają uwagę piękne prace pań: Marchalowej, Wehrowej, Straubowej, Kwaśniewskiej i t. d. Główną atrakcją jest bezwątpienia pięknie wykonana liczna kompania pątników, złożona z całego szeregu różnorodnych typów wiejskich w strojach ludowych, z Kujaw, Rawskiego, Mazowsza, Krakowskiego, z puszczy Myszynieckiej i t. d. Kompanię poprze-

dza kapłan, panny z feretronami, dzia-twa, sypiąca kwiaty, i, najlepsza w wykonaniu, orkiestra włościańska w strojach z Lubelskiego. Jest to zbiorowa praca pań: Siemieńskiej, Chodnikiewiczówny, Jabłońskiej, Bugaiskiej, Łackiej, Niemierkowej, Skalmierskiej, Noprówny, Cygańskiej i innych. Gal.

Najważniejsze wypadki minionego tygodnia.

SPRAWY POLITYCZNE.

Rokowania polsko-ruskie o sejmową reformę wyborczą zerwane. Sejm galicyjski nieprędko się zbierze, a waśń trwa.

O powszechnej służbie wojskowej coraz więcej mówią w Anglii, wobec zamierzonych zbrojeń niemiecko-francuskich.

Socjaliści węgierscy gotują strejk powszechny, z protestem przeciw rządowemu projektowi reformy wyborczej.

W Meksyku zapanował spokój. Prezydenta Madero, jego brata i wiceprezydenta Suareza zastrzelono „przypadkowo“.

Z IZB PRAWODAWCZYCH.

Autentycznych aktów wyborczych, celem sprawdzenia prawidłowości mandatów poselskich, zażądała Duma od Rady ministrów, wobec odmowy ministra spraw wewnętrznych.

Interpelację o „propagandę jezuitką“ wnoszą prawnicy, z powodu ujawnienia w Petersburgu kaplicy unickiej ks. Deibnera.

Za zatwierdzeniem wyboru Jagielly postanowili głosować w plenum Dumy prawnicy i nacjonaliści.

Z POLA WALKI.

Dyplomacya europejska krąży w błędnym kole. Konferencya ambasadorów nie daje dotąd żadnych pozytywnych wyników.

Zbliżenie austriacko-rosyjskie nie jest jeszcze dokonane. Rewelacye półurzędowych organów są wprost sprzeczne.

Zjazd albański obraduje w Tryeście nad granicami Albanii, wcieleniem kuwołochów i formą przyszłego rządu.

O zawarcie pokoju czyni znowu starania rząd turecki. Lecz czy skutek będzie lepszy, jeżeli metoda się nie zmieni?

Konflikt bułgarsko-rumuński trwa dalej, bo Rumunia tylko warunkowo chce się poddać sądowi rozjemczemu mocarstw.

Czarnogórcy, choć nie zdobyli, żądają Skutari. Lecz cóż pomogą wobec koncertu mocarstw Europy?

LITERATURA I SZTUKA.

Na dzierżawę teatru krakowskiego złożono pięć ofert. Kandydatami są: Baranowski, Gabryelski, Pawlikowski, Tarasiewicz i Trzcński.

Niemiecko-rosyjska konwencya literacka, podpisana przez pełnomocników, zacznie obowiązywać za 3 miesiące, po ratyfikacyi.

Kandydatami do literackiej nagrody Nobla są podobno: Anatol France i poeta portugalski Junqueiro.

ZDOBYWANIE POWIETRZA.

Wilhelm Kress, jeden z twórców lotnictwa, zmarł w Wiedniu w 77 roku życia. Dopiero po śmierci zyskał rozgłos i uznanie.

Jako organizatora lotnictwa wojskowego, zaangażował rząd serbski znanego lotnika francuskiego, Vedrina.

„Hansa“, balon Zeppelina, odbyła

setny wlot. Niebrakło i jubileuszowej katastrofy, bo śmigło trzasło, a balon ledwie powrócił do hangaru.

Lotniczka francuska, p. Dutrieux, otrzymała krzyż legii honorowej. Pierwsza udekorowana zdobywczyni powietrza.

Z PRASY.

„Sztuki“, miesięcznika literacko-artystycznego, ukazał się zeszyt VII po dłuższej przerwie. Treść doborowa i interesująca. Na wstępie nieznan fragment St. Wyspiańskiego p. t. „Ajas“.

„Teatr“, ilustrowany dwutygodnik artystyczny, wychodzący w Krakowie, daje stale obszerny przegląd dziedziny teatralnej w Polsce. W ostatnich zeszytach poświęcono sporo miejsca premierom warszawskim.

RÓŻNE.

W „Café Voltaire“ w Paryżu w dn. 25 b. m. odbył się bankiet na cześć Weysenhoffa z udziałem sfer literacko-artystycznych francuskich i polskich. Przewodniczył prof. z Sorbony, Ernest Denis.

Ks. Adam Sapieha, ksiądz biskup krakowski, ma otrzymać purpurę kardynalską.

Przeciw „obieźysasom“ sroży się hakata, żądając cła od głowy każdego polskiego imigranta. Tego nie było jeszcze — powiedziałby Ben-Akiba.

Cesarz Wilhelm przegrał proces ze swym dzierżawcą majątku Kadinen. Nie zdołał go wyrzucić, a hodowla krzyżowanych zwierząt ulegnie zwłóce.

Głośnych bandytów samochodowych w Paryżu skazał sąd częścią na karę śmierci, częścią na więzienie.

Nowe lampki Osram z drutu ciągnionego
Niepękające



Każda prawdziwa lampka Osramowa musi mieć napis „Osram“. Do nabycia wszędzie

Wyprawy i naczynia kuchenne niklowe, miedziane, emaljowane, aluminiowe i porcelanowe.

Warszawa, Nowy-Swiat № 9.

Telefon № 25-15.

EDWARD DUSOGE,



„I my wszyscy otrzymaliśmy listy, grożące nam śmiercią!”

Przed sądem paryskim zakończył się w ubiegłym tygodniu głośny proces bandytów, będący epilogiem głośniejszych jeszcze napadów, jakich dopuszczali się zuchwali bandyci, napadając w jasny dzień na instytucje finansowe i posługując się do tego celu samochodami. Proces ciągnął się przez kilkanaście dni i obfitował w sensacyjne momenty. Jednym z najcharakterystyczniejszych był epizod, gdy jeden ze świadków oznajmił, że otrzymał list anonimowy, grożący mu śmiercią na wypadek, gdyby zeznawał na niekorzyść bandytów. W tej samej chwili wszyscy sędziowie zerwali się ze swych ław i wykrzyknęli jednogłośnie:

„I my wszyscy otrzymaliśmy listy, grożące nam śmiercią!” — Prezydent sądu powstał również z miejsca, dodając spokojnie: „I ja także”. — Wreszcie, gdy uciszyło się nieco, oskarżyciel publiczny oświadczył donośnym głosem: „Zdaje się, że niema tu nikogo, kto by nie otrzymał listu z pogroźkami”. — Epizod ten dowiódł, jaką presję i terror usiłowali zbrodniarze wyrzucić na wymiar sprawiedliwości. Sąd nie uląkł się jednak żadnych pogroźek, bandyci zostali skazani częścią na karę śmierci, częścią na długoletnie więzienie.

Piąty akt.

Helena Janczarska, nauczycielka prywatna we Lwowie, zastrzeliła znanego lekarza lwowskiego, d-ra Kazimierza Kruszyńskiego, poczem sama pozbawiła się życia.



Odpowiedzi redakcyi.

P. A. Dmochowskiemu w *Korsunce*. *Dyabla i Karczmarę* można nabyć w każdej księgarni.

P. Maryi *Olszańskiej*. Administracja spełniła polecenie. Adres księgarni w Moskwie: M. O. Wolf, Kuzniecki most.

X. X. Enver-bej nie jest Polakiem. Z polskiej rodziny natomiast pochodzi w Konstantynopolu p. Z. Maciejewskiego, który udzielił wskazówek. Adres jego: *Constantinople, 7, rue Toulounba, Alep Han, № 4, Galata*.

P. *Zygmuntowi Kub*. Adres Carnegie'go nie jest nam znany.

Nelli. Nadesłane utwory nie będą drukowane w *Świecie*.

P. *Ciesz. Wład*. Nadesłane utwory nie będą drukowane w *Świecie*.

Ewent.. Nadesłana nowela nie będzie drukowana w *Świecie*.

H. H. „Słowo nieznanne” i „Zwątpienie” nie będą drukowane w *Świecie*.

Ofiary złożone w adm. „Świata”.

Na kształcenie dzieci po s. p. Elu Jan W. rb. 3.

Sarga **KALODONT**

Niezbędny **KREM i ELIKSIR** do **ZĘBÓW**
Utrzymuje zęby białe, czyste i zdrowo.

żądać wszędzie

Fabryka Kapeluszy damskich
= oraz Piór fantazyjnych = **I. KACEW**
(Długa № 50 obok Hotelu „Passaż”)

Poleca NA SEZON NADCHODZĄCY OSTATNIE NOWOŚCI
Filia I Pasaż Simonsa sklep № 15 — Filia II Wierzbowa 3 obok Kuryera Porannego.

Ceny fabryczne — stałe.

7405

**SAGRADA
BARBER**

ROŚLINNY ŚRODEK
PRZECZYSZCZAJĄCY
a PRZYTEM WZMACNIA-
JĄCY ŻOŁĄDEK.

PRAWDZIWI TYLKO z APTEKI SW. DUCHA w WIEDNIU.

BIEDNY UCZEŃ Szkoły technicznej kursu II prosi Sz. Czytelników o ciepłe pają i buty gdyż matka wdowa nie jest w możności mu sprawić. Ofiary przyjmuje nasza Administracja pod W. W.

**1^{sz} WARSZAWSKI ZAKŁAD
TECHNICZNO — DENTYSTYCZNY**

Marszałkowska 51. Tel. 283-62.
Zęby sztuczne wszelkich systemów. Od rb. 1 zęb. Korony. Przyjeżdżnym w ciągu dnia.

ŻAŁOBNA KARTA.

Ś. p. Seweryn Kniaziołucki,
zmarły w Wiedniu, jako emerytowany szef



sekcji, przez czas pewien był ministrem skarbu, Dość krótkie piastowanie teki przez niego zaznaczyło się jednak bardzo doniosłym czynem: z niesieniem stempla dziennikarskiego, czyli podatku od każdego egz. pisma. Stanowiło to erę w rozwoju prasy ludów Austrii.

Pisma wiedeńskie i galicyjskie są pełne pochwał dla pracowitości, wiedzy i zalet charakteru zmarłego.

Ś. p. Franciszek Faszczewski,
zmarły niedawno przedstawiciel kopalni francusko-włoskich w Zagłębiu Dąbrowskim,



uczynił następujące zapisy na różne instytucje naukowe, humanitarne i dobroczynne: 2,000 rb. na Kasę pom. dla literatów w Warszawie; 2,000 rb. na Polską Macierz Szkolną w Królestwie Polskim, z zastrzeżeniem, że gdyby instytucja ta przestała funkcjonować, suma powyższa ma być zużyta na wsparcia dla

wyższa ma być zużyta na wsparcia dla

niezamożnych uczniów szkół polskich; 2,000 rb. na kasę pom. dla nauczycielek w Warszawie; 1,000 na 10 wsparć po 100 rb. dla niezamożnych studentów polaków, kształcących się w kraju lub za granicą; 500 rb. na Tow. Dobroczynności dla biednych chrześcian w Dąbrowie Górniczej; 500 rb. na budowę kościoła katolickiego w Dąbrowie Górniczej.

Ś. p. Antoni Kisielewski,

wychowaniec Szkoły Głównej warszawskiej, urzędnik b. Komisji Rządowej Sprawiedliwości Królestwa Polskiego, b. Komisarz Sądowy przy zjeździe Sędziów Pokoju m. Warszawy,



Kawaler orderów, ostatnio emeryt, zmarł dn. 12 lutego 1913 r. Jako dobry polak i człowiek czynny, był członkiem wielu instytucji filantropijnych, wspierał je; służąc też

cichą pomocą i opieką młodzieży, z której wielu zawdzięcza zmarłemu możność kształcenia się i opiekę nie tylko materialną, lecz i rodzicielską. Zwłoki złożono czasowo w grobie rodzinnym na Powązkach, skąd po dokonaniu rozszerzenia grobu rodzinnego na cmentarzu w Chotomowie pod Jabłonną, gdzie spoczywają ciała rodziców i braci zmarłego, będą tam wkrótce przeniesione.

Ś. p. Jolanta z Jezierskich
Jabłońska,

wdowa po mecenasie trybunału kaliskiego,



ś. p. Ignacym Jabłońskim. Zaczyna matka znanego budowniczego i profesora estetyki na wyższych kursach naukowych, Antoniego Jabłońskiego, urodzona w roku 1834 w Kopojnie w W. Księstwie Poznańskim z matki Józefy Jezierskiej z Kozickich. Kształciła się w Ks. Po-

znańskim, brała czynny udział w wypadkach z przed 50-lety, tudzież we wszystkich sprawach, obchodzących ówczesne społeczeństwo nasze, odznaczała się zanością i znana w szerokich kołach obywateli na Kujawach i w Kaliskiem, ostatnio obywatelka Chabielic w Piotrkowskiem. Z dzieci pozostali Ignacy Jabłoński, inżynier w Ekateryn. gub., oraz obywatel ziemski Chabielic, Mikołaj, budowniczy Antoni i córka Józefa.



DODATEK ILUSTROWANY.



Nowy
wynalazek
w krawiectwie.



Sztuka krawiecka u nas z każdym rokiem posuwa się naprzód i naprzód, pod każdym niemal względem dorównywując zagranicy...

Jednym z donioślejszych wynalazków w tej dziedzinie jest nowo wynaleziony aparat pod nazwą „Apollo”. Za pomocą tego aparatu robi się manekin, który dokładnie oddaje figurę danej osoby. Tajemnica tego wynalazku, nadzwyczaj dowcipnego i prostego, nie jest wcale skomplikowana i polega na następujących danych: po zdjęciu miary z osoby, dla której ma być zrobione ubranie, zdejmujemy ona marynarkę i kamizelkę, jak wskazuje załączona ilustracja;

następnie nakłada się muślinową koszulkę, którą okleja się gumowanymi pasami papierowymi tak, ażeby wszędzie jak najdokładniej przylegała do ciała. Guma momentalnie wysycha, i koszulka, w ten sposób oklejona, tworzy rodzaj pancerza, szczelnie przylegającego do ciała. Ażeby pancerz ten można było zdjąć z klienta, rozcina go się z tyłu i po zdjęciu zesztywnia go się w miejscu przecięcia. Następnie kładzie go się na specjalny gumowy worek, nadyma powietrzem, i w ten sposób, otrzymujemy manekin, najdokładniej oddający figurę danej osoby. Aparat ten ma szczególną wartość dla osób z fi-

gurami nienormalnymi, gdyż daje łatwo zauważyć każde skrzywienie biodra czy ramiona, co przy zwyczajnej mierze jest bardzo trudnym do skonstatowania. Manekin przechowuje się, tak że, raz zrobiony, wystarcza na zawsze, co jest dla klientów, zwłaszcza z prowincji, bardzo wygodne, gdyż można zamówić ubranie listownie i być pewnym, że bez przymiarek będzie ono dobrze pasować, ponieważ zamiast na figurze, przymiernia się na manekinie.

Również wielce wygodnym jest to dla osób, które nie znoszą częstych przymiarek...

Z magazynów warszawskich wynalazek ten zastosowała u siebie znana dobrze firma krawiecka „Szwalbe, Sach i S-ka”, przy ul. Senatorskiej nr. 8, przodująca zawsze w kierunku udoskonalenia swoich prac...

Wielki wybór najlepszych materiałów zagranicznych i krajowych, najpiękniejszy krój, przy zastosowaniu nowego wynalazku, na długo pozwolą firmie utrzymać zdobyte długą a wytrwałą pracą stanowisko. kr.



Front hotelu.



Sala kawiarni.

Europa w Łodzi.

Polski Manchester — Łódź, w przeciągu ostatnich kilkunastu lat rośnie jak na drożdżach.

Jak z pod ziemi, na skinienie różdżki potężnego boga przemysłu, wyrastają olbrzymie gmachy fabryczne, strzelające ku niebu wielkimi kominami, dające zarobek tysiącom ludzi...

Przemysł łódzki w przeciągu tego czasu również rozrósł się niezwykle, wyrobami swemi zasypując rynki nie tylko Cesarstwa, ale i bliskiego i dalekiego Wschodu. Wszakże obecnie byłoby trudno bardzo znaleźć w całym Cesarstwie, ba, nawet na Syberyi, w Mandżuryi i t. d., jakiegokolwiek miasto lub miasteczko, w któremby nie było wyrobów łódzkich, w którem by towary łódzkie nie miały ustalonej sławy lub zbytu.

To też niezależnie od ludności stałej, tubylczej, zauważyć się daje w Łodzi jeszcze inna kategoria mieszkańców przyjezdnych, bardzo liczna i zmieniająca się ciągle...

Są to kupcy, ciągnący ze wszystkich stron państwa po zakup towarów, są to komiwojażerzy przeróżnych fabryk krajowych i zagranicznych, przybywający z artykułami swoich firm po zamówienia, są to wreszcie turyści, przyciągnięci gorącą chęcią zobaczenia i poznania tego centrum przemysłu polskiego. Wszyscy ci przyjezdni po ogólnych słowach zachwytu i uznania, jeden zarzut stawiali Łodzi: brak hoteli, urządzonych racjonalnie i wygodnie, brak dbałości o komfort i wygodę gości, przywykłych do wygod i wykwintu hoteli całej Europy...

— Wszystko byłoby jak najlepiej, narzekali oni: gdyby nie brak hoteli... Istniejące dotychczas, o nader prymitywnych urządzeniach, nie mogą zaspokoić naszych wymagań, zepsutych wykwintem i nowoczesnymi urządzeniami hoteli Europy. Sam ten brak stawia tak wielkie miasto, jak Łódź, na poziomie miast prowincjonalnych, czyniąc z niego kąć zapadły...

Lecz z biegiem czasu wszystko idzie naprzód... Obecnie i w Łodzi usunięto to zło, obecnie przyjezdni nie będą mogli narzekać na jakikolwiek brak w tym kierunku.

Nawet najwybredniejsi podróżnicy zaspokojeni zostaną i będą zmuszeni zmienić swe zdanie.

Teraz zmuszeni będą wprost przyznać, że Łódź pod żadnym absolutnie względem nie ustępuje Europie, a pod niektórymi nawet przewyższa ją.

A stało się to za sprawą świeżo otwartego hotelu „Savoy“, hotelu, urządnego według ostatniego słowa komfortu i techniki, mogącego zadowolnić najwybredniejsze nawet gusta swej klienteli, a pozostającego pod kierunkiem znanego w szerokich kołach p. Br. Żelechowskiego.

Śmiało przyznać można, że podobnym zakładem poszczycić by się mogło najpierwszorzędniejsze miasto w Europie...

Należą się też za to słowa prawdziwego uznania twórcom tego hotelu, którzy wnikając w istotną potrzebę swego miasta, rozumiejąc ją i odczuwając, a zarazem i pragnąc zapobiedz brakom jego, nie szcędząc

ani nakładu kosztów, ani pracy, gmach ten wystawili i urządzili...

Ale powiedzmy słów parę o samym hotelu...

Przedewszystkiem położenie jego.

Znajduje się on w najlepszym punkcie miasta, gdyż przy ul. Krótkiej, w pobliżu głównej arterii komunikacyjnej, ul. Piotrkowskiej.

Z położenia tego wynikają niezliczone korzyści.

A więc, przedewszystkiem, znajduje się on w odległości zaledwie pięciu minut drogi od dworca kolejowego. Każdy więc z łatwością pieszo tą drogą przebywać może.

Nie wyklucza to jednak tego, iż na każdy pociąg, dbały o wygodę swych gości zarząd hotelu wysyła i karetki, i samochody hotelowe.

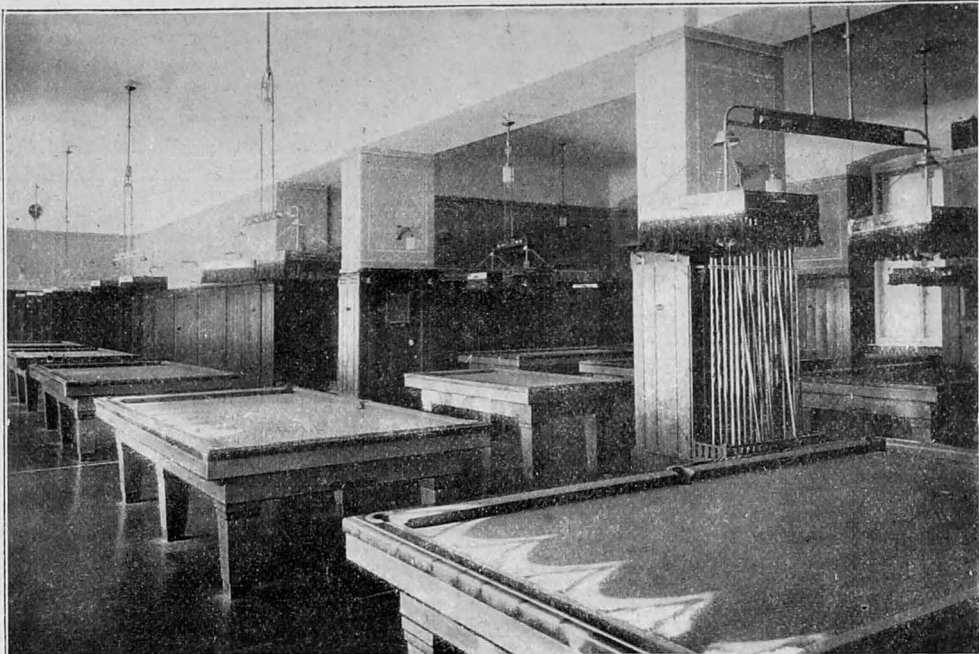
Wszyscy przyjezdni, każdym pociągiem, znajdą na stacji oczekujące na nich te wygodne wehikuly, które powiozą ich prosto do hotelu.

Drugą wygodą, wynikającą z położenia hotelu, jest ta, że znajduje się w pobliżu centralnych zarządów wszystkich wielkich fabryk łódzkich, albo też daje możność dostania się do nich za pomocą krążących w pobliżu tramwajów elektrycznych.

Przybysza z dalekich stron, nawet przywykłego do komfortu hotelów Europy, odrazu uderzy wykwint, z jakim urządzony jest hotel „Savoy“.

Tu też uczyniono wielki krok naprzód, łącząc umiejętnie wykwint z wygodą...

Każdy numer, oświetlony elektrycznością, utrzymany w tonach jasnych, o nader subtelnym odcieniu, urządzony jest w sposób pełen smaku i artyzmu, tak miły dla osób zmu-



Sala bilardowa.



Portyernia

szonych do przebywania poza domem...

Meble nader gustowne i wygodne, dopełniają całości.

Każdy numer nie sprawia wrażenia hotelowego, to nie zimne, szablonowe, sadzące się na krzykliwy choć tandetny przepych numery naszych dotychczasowych hoteli, — to miły, przyjemny zakątek, przypominający niejednemu z podróżnych dalekie ognisko domowe...

Cały systemat dzwonek elektrycznych służy do przywoływania służby, specjalnie wyszkolonej i uprzedzająco grzecznej.

Każde życzenie gościa, każde jego żądanie, natychmiast, jak najściślej i najakuratniej wykonaniem zostaje.

A ze znaczenia dobrej służby w hotelu, dobrze zdają sobie sprawę ci wszyscy podróżni, zmuszeni zajęciem swoim do ciągłego koczowania z miasta do miasta...

Ona to może zatruć niejednemu życie nieakuratnym i niedbałym wykonaniem obowiązków.

O służbie hotelu „Savoy“ można tylko powiedzieć w dodatkiem znaczeniu tego słowa.

Rozumie ona dobrze, iż ona tylko właściwie jest na usługi gości, a nie goście dla niej, i stosując praktycznie tą zasadę, wywiązuje się z obowiązków swoich jaknajlepiej.

O urządzeniach takich, jak kąpiele i t. p., nie ma nawet co i mówić... Urządzone są one na każdym piętrze i zawsze gotowe są do usług gości.

Wogóle urządzenie numerów jest jaknajbardziej „moderne“, wykwindne, i zapewniające wszelkie, najdrobniejsze nawet wygody.

Wystarczy tylko zaznaczyć taki drobny szczegół napozór, ażeby każdemu dać dostateczne pojęcie o całości.

Oto w każdym numerze hotelowym, o każdej porze dnia i nocy, gość znajdzie zawsze zarówno zimną jak i gorącą wodę.

Szczegół nieznaczący, bagatelna na oko wygoda, lecz w naszych hotelach, jak dotychczas, była tylko marzeniem nieziszczonym.

Ten szczegół daje też dostateczne pojęcie o całości, wskazuje zupełnie wyraźnie, jak dba zarząd hotelu „Savoy“ o wygody swych gości, jak uprzedza wszystkie ich życzenia.

A teraz słówko o jednej z najbardziej drażliwych spraw — o cenach.

Niejednemu, kto czyta tą notatkę, wydawać się może, iż przy takim komforcie i wykwindnie zarząd hotelu musi zdzierać niebywałe ceny... że pobyt w hotelu tak wykwindnie urządzonym kosztować musi bająnskie sumy...

I tu się pomyli.

Pomimo wszystkich kosztownych urządzeń, pomimo całego wykwindu, hotel „Savoy“ posiada jednocześnie nader ważną zaletę na obecne ciężkie czasy — mianowicie ceny zupełnie umiarkowane, niczem nie przewyższające cen, praktykowanych w innych hotelach...

Na zakończenie słów parę o kawiarni i restauracji hotelowej, prowadzonej pod osobistym kierunkiem zarządu hotelu. Pod względem komfortu urządzenia, stanowią one jedną całość z hotelem. I tam gość obsługony zostaje jaknajdoskonalej, i tam

tenże sam wykwind i wygoda w urzędzeniu.

Co do kuchni i produktów, to tylko możemy powiedzieć, iż są one najsmaczniejsze, najwykwintniejsze, najświeższe i najzdrowsze.

Niezależnie od tego hotel posiada salę bilardową, mieszcząca 18 bilardów, najnowszej konstrukcji.

Wyliczenie wszystkich „naj“ zbyt wiele zajęłoby miejsca, kończymy też notatkę naszą, dodając, że restauracja hotelu „Savoy“, na żądanie, rozsyła jedzenie do numerów...

Każdemu, kto jedzie do Łodzi, a chce zamieszkać czasowo z zachowaniem warunków wykwindu, wygody i komfortu, radzę stanąć w hotelu „Savoy“.

Napewno mi za radę tą wdzięcznym będzie, i na przyszłość w innym hotelu nie stanie, naocznie stwierdzwszy prawdę słów moich. E. Kr.



Duży zapas win węgierskich od rubla 1.50 butelka.
Kuchnia wyborowa. Krupnik litewski na gorąco. Wieczorami koncert. Centrum miasta. Rendes vous dla przyjaciółnych.

MONIUSZKI No 12.

WALDSZLESCHEN
PIWO
POWSZECHNIE ZNANE

BAR

Treść No 10 „Świata”.

Geneza nieprodukcyjności duchowej Stanów Zjednoczonych. *W. Studnicki.*
Czy polacy amerykanizują się. *(Z 2 il.) Jan Bielecki.*
Płaskorzeźby dekoracyjne A. E. Bourdelle'a. *(Z 1 il.) Wład. Kiślanska.*
Wystawa „niezależnych”. *(Z 6 il.) B.*
Z literatury. *(Z 1 il.) Ch., Jota.*
Jubileusz malarza. *(Z 1 il.) a.*

Z za kulis życia muzycznego Paryża. *K.-D.S.*
35-lecie szefa banku. *(Z 1 il.)*
„Warsztaty krakowskie”. *(Z 7 il.) Clar.*
Robotnicy bez pracy w Łodzi. *(Z 8 il.) E.W.*
Wojna na Bałkanach. *(Z 1 il.) Podchorąży.*
Z teatrów warszawskich. *(Z 1 il.) a.*
Jubileusz artysty. *(Z 1 il.) K.*
Z muzyki. *(Z 2 il.) Bemol.*
Mafioletni prenumer. „Przyj. Dzieci”. *(Z 1 il.)*
Humor i Satyra. *Krogulec.*
Najważniejsze wypadki minionego tygodnia.

Żałobna karta. *(Z 4 il.)*
Nowy wynalazek w krawiectwie. *(Z 2 il.) kr.*
Europa w Łodzi. *(Z 4 il.) E. Kr.*

ODDZIELNE ILUSTRACJE:

W roku 1812-ym.
Kandydaci na stolicę arcybiskupią. *(3 il.)*
Z teki karykatur St. Sonnenwenda. *(3 il.)*
Częstochowska wystawa lalek.
Proces bandytów paryskich.
Piąty akt.

Z Kalotechniki.

Nr. 84. Ponieważ marcowe słońce najbardziej opala, kurację trzeba zaraz zacząć stosować. Mianowicie, codziennie na noc smarować twarz kremem d-ra Orgley'a, rano zaś płynem Vesta. Cera się uodporni i piegi nie będą występować. We Lwowie dostanie Pani wspomniane środki u Pawłowskiego, Akademicka, 21.

Nr. 4. Elixir radiowy utrzymuje aseptycznie jamę ustną, usuwając przykry zapach z ust. Do czyszcze-

nia zębów proszek Eljen. Wyczeszki włosów przysłać do analizy lekarskiej dla szczegółowego zbadania przyczyn wypadania włosów. Lekarz zbada i zaleci odpowiednie środki.

Nr. 72. Wszelkiego rodzaju operacyjki, jak zdejmowanie brodawek, kurzajek, znamion barwиковych, dokonywane są w Kalotechnice, Marszałkowska, 116, telef. 16-73, w godzinach przyjęć lekarskich, codziennie od 4 — 6.

Nr. 777. Środek wspomniany chwilowo tylko wybiela. Krem ten, o ile działa dla Pani dodatnio, można dalej stosować.

Poradnik higien.-kosmetyczny.

Racjonalne pielęgnowanie zębów.

Od racjonalnego i umiejętnego pielęgnowania zębów i jamy ustnej zależy niejednokrotnie zdrowie nasze. A to dlatego, że wszelkie chorobotwórcze bakterie i mikroby, znajdując w szczelinach zębów i jamy ustnej odpowiednie podłoże dla siebie, rozwijają się tam, rozmnażają, a następnie wraz z jedzeniem dostają się do żołądka, zatruwając organizm. Ażeby je zniszczyć, należy racjonalnie, celowo, pielęgnować zęby i jamę ustną. Jak praktyka dowiodła najlepszym preparatem do tego celu okazał się „Tlenol”, (krem, proszek, płyn), sporządzony ściśle podług recepty d-ra Napoleona Cybulskiego, prof. Wszechnicy Jagiellońskiej.

Niszczy on bakterie i dezynfekuje jamę ustną, wzmacniając zęby.

Płynny preparat Sanguinalu.

Nie wszyscy pacjenci znoszą leki w postaci pigulek. Ta okoliczność wpłynęła na wyrób znanych preparatów Sanguinalowych w postaci płynnej, zadość czyniącej wszystkim najnowszym wymaganiom. Liquor Sanguinalis Krewel, jest to nadzwyczaj przyjemny w smaku płyn, który znoszą również do brze i osoby wrażliwe, a który zwłaszcza nadaje się jako środek leczniczy żelazisty w praktyce kobiecej i dziecięcej, zastępujący w zupełności Haematogen. Liquor Sanguinalis w przeciwstawie do innych płynnych preparatów żelazistych, nie zawiera zupełnie gliceryny, jest łatwostrawny i skuteczny. Stosowany bywa we wtórnej

Nr. 65. Włosy usunie depilatoire Lotos, lecz radykalnie tylko elektrolyza.

Nr. 12. Wągry usunąć trzeba mechanicznie, oprócz tego myć się Perelkami alkalicznymi i wycierać twarz płynem Vesta; cera się odłuszczy i wągry się nie powtórzą.

Wymienione środki wysłała Kalotechnika na prowincję za zaliczeniem pocztowym. W Radomiu Cieszkowski, w Krakowie Miklaszewski, pl. Dominikański, 1, w Kijowie Juratat, w Wilnie Gruzewski.

Zarząd Kalotechniki.

anemii, blednicy i stanach z nich wynikających zwłaszcza, gdy są one połączone z blednicą twarzy, bólami i zawrotami głowy i ze znużeniem. Zdziwiająco szybką bywa poprawa stanu krwi po użyciu likworu.

Papier Poudre Ltd.

Żadna pora nie działa tak szkodliwie na cerę, jak wiosenna, gdy wichry tną prosto w twarz, niszcząc naskórek. Najradykalniejszym środkiem zapobiegawczym jest pokrycie twarzy cienką warstwą pudru. Najlepiej do tego nadaje się puder w książeczkach, tak zw. Papier Poudre Ltd. Jedna karteczka tego papieru pudrowego, wydartą z książeczki i roztartą po twarzy przy pomocy chusteczki, okrywa ją cienką warstwą pudru, chroniącą w zupełności od wpływów atmosfery. *Dr. M. D.*

KONIAK IMPERIAL



Kaloderma

KALODERMA-MYDŁO
KALODERMA-KREM
KALODERMA-PUDER RYZOWY

Najlepszy dla zachowania
piękności skóry.

F. WOLFF i SYN
KARLSRUHE
BERLIN-WIEDEN

GORSETY

najświeższych fasonów na prawdziwych fiszbinach od rb. 3
poleca MAGAZYN K. POREBIŃSKIEJ
Elektoralna No 4.

PURGEN

IDEALNY
ŚRODEK PRZECZYSZCZAJĄCY
DLA DOROSŁYCH I DZIECI

Bezwartościową imitację i falsyfikaty zawierają te wszystkie pudełka które nie są zaopatrzone w niebieską banderolę z rosyjskim napisem oraz z dołu na pokrywce pudełka nie mają zamieszczonej firmy: **Dr. Bayer és Társa, Budapest.** Pudełka 65 kop. we wszystkich aptekach.

MEBLE

Zakład Tapicersko-Dekoracyjny i Stolarski
A. STRÓMIŁO, Al. Jerozolimska 70.
Telefon 29-99.
całkowite urządzenia lokali lub pojedyncze sztuki. Ceny niskie
7505

7648 Sprzedaż we wszystkich aptekach, perfumeryach składach aptecznych.

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok V.

Warszawa, dnia 8 marca 1913 roku.

№ 10.

Józef Weyssenhoff.

Prawa przedruku i przekładu zastrzeżone
przez autora i wydawców.

GROMADA.

Powieść ziemiańska.

24

XIII.

Fatalnym szkopułem dla cnoty Józefa Bronieckiego była mnogość jego przyjaciół. Gdy przyjeżdżał do Warszawy, do hotelu, w którym zwykł był stawać od ćwierci wieku, napełniał cały hotel zgłębieniem swych spraw rozlicznych. Krzyżowali się posłańcy od i do jaśnie pana, telefony napełniały powietrze dreszczem prawie nieustannym. Były w tym i sprawy ważne: rolnicze, kredytowe i parlamentarne, ale dużo też spraw wesołych, lekkich, był i nadmiar polskiego gadania. Czasami górował nad wrzawą donośny głos pana Józefa:

— Antoś! wypucować mi buty, ubranie — i kawy białej — duchem! No, ruszaj-że się, Antoś!

Służący, z pozoru weteran wojsk polskich, chyba dlatego tak pieściotliwie nazywany, że zaczynał dziecinnieć, łyżwował wtedy jak najspieszniej do pokoju gromkiego pana dziedzica, i zabierając manatki, zdawał jednocześnie raport z wypadków, które zaszły przed południem, podczas gdy Broniecki spał jeszcze, bo o ile na wsi był rannym ptakiem, o tyle w Warszawie — nocnym.

— Odnieśli tryb do maszyny — ciężki jucha! postawiłem w lazience.

— Dales co posłańcowi na piwo, Antoni?

— Z czego tu dać? grosza na tabakę niema w kieszeni.

— Mówiłem ci, arcybyku: gdy potrzeba co zapłacić dla mnie, rznij do pana Klonowicza, administratora, który komenderuje moją flotą.

— Będę wiedział. — A jeszcze telefonowała tam jakaś... zdaje się, że Janka.

— Która Janka?

— Zdaje się, że ta kulawa —

— To mnie nie znasz! Kulawych tam żadnych nie przyjmuję. Bucik jej dolegał, jak tu była. — Czegoż chciała?

— Ha, pewnie tego, co i zawsze — Powiedziałem jej, że by zadzwoniła później, bo pan wyszedł.

— Nie powiedziałaś, że śpię? Brawo, Antoś! Widać, żeś służył w dobrym pułku. — No, teraz kawunia —

— W mig będzie.

Podczas gdy pan Józef golił się i ubierał, przychodził do niego pan Klonowicz, minister finansów, szlachcic starożytny, brodaty, z pozoru okrutny, tylko gdy się rozweselili, śmiał się do łez, jak człowiek pogodnego sumienia. Był to przyjaciel wtajemniczony w sprawy i sprawki Bronieckiego, niby rzęda i moralista, lecz w gruncie bardzo czuły i pobłażliwy powiernik.

— Stary Klon wygląda mi dzisiaj coś niebardzo — witał go pan Józef — musiał wieczorkiem bawić się czemś niezdrowym?

— Gdzie mnie tam! — opę-

dzał się Klonowicz ręką od podejrzeń — po sobie pan sądzisz.

— Cóż? patrzę na księżą oborę? — pytał Broniecki, przeglądając w lustrze swą twarz od brzytwy lakierowaną, wąs do góry i oczy pijane życiem już od rana.

— Ogniotrwałe zdrowie! — mruzczał Klonowicz, niby oburzony — miesiąc z górą takiego życia, a innego pochowałiby już — słowo daję! Ale Kasia chora — —

— Kasia?

— Ta żelazna, z czterema zamkami. Złożyłeś mi pan w końcu października trzy tysiące w depozyt — wczoraj frunęła ostatnia setka. —

— O psia! — Ale nie bój się, Klonosiu. Nadpłynęła flotylla za jęczmień. O, patrz tu — —

Dobył z pod poduszki grubą kopertę i rzucił na stół. Klonowicz wziął ją do rąk i zaczął liczyć banknoty.

— Po czemuż pan sprzedajesz?

— Po ośm rubli korzec, ale tylko połowę. Na wiosnę będzie droższy.

— Bój się pan Boga! podwójna cena w porównaniu z targową!

— Bo jęczmyk „prima Sławoszewo“; rozchwytają te ziarenka na siew.

Klonowicz osłupiał, wiedząc, że Broniecki lubi wywoływać osłupienie przez słowa swe i czyny.

— Zaraz tu przyjdzie parę osób — zaczął pan Józef z innej beczki — zjedz z nami śniadanie, stary.

— Padam do nóg, uciekam! — zerwał się Klonowicz z miejsca, zagarniając wszystkie pieniądze za jęczmień.

— Hola, hola, jegomość! scho-

waj mi pan tysiące, ale zostaw te drobne.

— Ładne mi drobne! — burczał Klonowicz, oddając kilkaset rubli.

Przychodzili do pana Józefa, gdy się zagnieżdżył w swoim hotelu, przyjaciele bardzo liczni i bardzo odmiennych gatunków: poważni rolnicy i hreczkosieje ogólnoszlacheckiego typu; mózgowcy i ludzie bezmyślnie weseli; hrabiowie i chłopci. Tylko kobiety, gdy się czasem zamieszały do towarzystwa, były wszystkie jednego gatunku. Córce zakazał wyraźnie pan Józef odwiedzania go w hotelu. — Czasem ci goście, gdy się spotkali z nienacką, spoglądali na siebie wzajemnie z nieufnością; jeden dziwił się, że Broniecki toleruje takich lekkoduchów, drugi nie mógł zrozumieć, dlaczego „Żozio“ zaprasza takich nudziarzy. Ale niewyczerpana werwa gospodarza wyrównywała te wszystkie różnice stanów i usposobień. Był to rodzaj demokratyzacji za pomocą butelki.

Bo łącznik, nazywany przez uprzejmego gospodarza szkiełkiem, flakonikiem i mnóstwem jeszcze pieszczotliwych przezwisk, spajał i dopasowywał różne humory gości, zatrzymanych, czasem przemocą, na śniadanie w numerze. Pił, kto co chciał: gołę, czerwieńca, renia, szampidruta czyli białego. Tradycyjny węgrzyn zjawiał się już rzadziej na stole.

Ktoby nie znał Bronieckiego ze wsi, gdzie wstawał ze słońcem, dozorował bacznie, liczył dobrze i przezornie, pomyślałby, widząc go podejmującego w hotelu gości, że polsko-saski Bachus jeszcze żyje między nami.

Tym razem zasiedział się Broniecki w Warszawie: szósty już tydzień rezydował w niej bez przerwy dla dwóch pozorów: wprowadzania córki w „świat“ i odczytu w towarzystwie rolniczem. Ale córkę widywał tylko u pani Obichowskiej, coraz rzadziej, a odczytu dotąd nie przygotował należycie; upominano się z towarzystwa natarczywie o termin. Pan Józef obiecywał sobie opracować przygotowany materiał w trzeźwym świetle którego poranka, tylko tych poranków jak gdyby nie było wcale w mętnych dniach zimowych, zajętych całkowicie przez przyjaciół. Można wprawdzie pracować i przy lampie, ale znowu, gdy zabłyśły światła, narzucała się nieprzeparcie konieczność biesiady obiadowej, teatru, teatrzyku, aż do godzin

bardzo późnych, zawsze w towarzystwie jakichś przyjaciół. Radośnie wchodził „Żozio“ na czele ich szwadronu, naprzykład do restauracji. Zapalały się wszystkie lampy i serca, a usłużne „byki“ zwijały się ochoczo, pewne suto go napiwku i przyjaznego traktowania. Tylko czasem z kąta sali jaki znajomy statysta zezował z przekąsem ku bachicznej kompanii i mruzczał:

— Ależ ten Broniecki przepije Sławoszewo!

Mylił się statysta, bo pan Józef szumiał jako „Żozio“, dopóki starczyło nabranego fermentu, nie zaciągał długów i powracał znowu do usilnej roboty na roli. Trwało to już ćwierć wieku niechybnym systemem. I nawet — o dziwo! — było z tem Bronieckiemu nieźle do twarzy, choć coraz bardziej zao krągłał się w pasie, czerwieniał na nosie i siwiał na skroniach. Niweczył pogładowo nowożytnie teorie o higienie w wieku dojrzałym. Niejeden jego rówieśnik chwiał się w przekonaniu do swych leków i kuracji, patrząc na pana Józefa, dającego żywy przykład tryumfującej niewstrzeźliwości:

— Choroba takiego nie zmóże — mruzczał z podziwem i zadością.

Jednak w tym roku krytykowano szumne życie Bronieckiego z innego stanowiska: w kraju było zbyt smutno i groźnie, aby dojrzały obywatel mógł się tak weselić — —

Z Petersburga ziało ku nam nienawiścią czynną, zgubną dla wszystkich dobrych poczynań; zaprowadzono u nas „porządki“, jakby umyślnie obliczone na przyspieszenie skrajnego zamętu; postępy narodowy znieprawiały zdradzieckie działania żydów, zalewających coraz nowe obszary ziemi i myśli polskiej; młodzież, w istocie dość obojętna na roboty ogólne, ogłaszała swe buńczuczne zakazy i programy nieżywe — — Klóciła się załoga nawy publicznej między sobą, zamiast walczyć zgodnie z nawałnicą, wszystkim grożąca — —

Widział to wszystko Broniecki, ale tak niecierpiał stanu przysięgnięcia, że, spełniwszy na wsi swe obowiązki, hulał w mieście dla pokrzepienia ducha. To dążenie do równowagi nie obchodziło się bez pewnych odchyłeń na stronę wybujałej zabawy.

Zdarzyła się taka okazyja w dniu imienin Ambrożego Dowbutta, 7 grudnia. Był to litwin, osie-

dlony zdawna w Królestwie, w willi, którą nabył niedaleko od Warszawy, kawaler wesoły, broniący się od starości ciągłą wprawą w młode zabawy, więc oczywiście i przyjaciel pana Józefa. Nazywali się „Brozio i Żozio“, a gdy się zetknęli, tryskały iskry dowcipu, strugi szampana i nawet awantury. Raz się nawet strzelali, choć bez krwi rozlewu, o jakąś damę, która już dawno poszła za kimś trzecim, — i pozostali następnie w tem ściślejszej ze sobą komitywie. — Pan Dowbutt, postawy i fantazyi rycerskiej, służył niegdyś w pułku ułanów i dotąd czuł słabość do barwnego munduru, przypominającego mu, jak twierdził, polskie czasy, ale bardziej minioną młodość, mniej polską, niż buńczuczną. Uczta w willi Dowbutta nie mogła się też obejść bez udziału młodych oficerów, nadzwyczaj dobrze wychowanych i usposobionych dla Polski, póki się nie urznieśli ostatecznie, lub nie dosięgli wyższego urzędowania.

Co się działo tego roku na imieninach u Dowbutta — niebardzo wiadomo, gdyż pan Józef nie opowiadał o tem wcale. Wiedziało tylko w hotelu, że Broniecki wyjechał samochodem w okolice Warszawy i miał powrócić nazajutrz, lecz nie wrócił. Dopiero czwartego dnia o dziewiątej rano ukazały się na ulicy cztery imponujące samochody.

Pierwszy prowadził osobiście pan Józef, ubrany w wilczurę włosą i wierzch, w czapce z okularami, może nie bez celu tak ukryty pod przebraniem. Obok siedział Dowbutt w czapce mundurowej, którą „miał prawo nosić“, w głębi dwóch cywilnych, jeden ułan i postać, okutana w aksamit, mieszająca do swądu benzynowego mocny ciąg perfum kobiecych.

W następnych samochodach jechali sami wojskowi z paru jeszcze paniami, w ostatnim trębacz pułkowi, bez dźwięku trąb, dla przyzwoitości.

Pędził ten pociąg czterogonowy szybko, roztrzaskując sygnałami dorożki i przechodniów, jakby czereda uprowadzała porwane panny przed spodziewanym pościgiem. Poranek był jasny i mroźny, dużo ludzi na ulicach. Przechodnie, czy nędznie, czy dobrze ubrani, ścigali samochody oczyma niechętnymi. —

DCN.

Niewierny pan Noulens.

„Dzięki Boskiej Opatrzności, kucharka mnie ocaliła. Rozległo się nieśmiałe pukanie i ukazała się postać kucharki z oczami rozognionymi, z głową otuloną w nadzwyczajne zawoje. Cierpiała na wściekły ból zębów. „Czy pani byłaby tak dobrą dać mi troszkę koniaku?” Cierpienia kucharki zawsze budzą w ludzkiej naturze więcej współczucia, niż cierpienia jakiej innej służącej. Współczucie pani okazało się czynnem — byłem ocalony!

„Ledwie się drzwi zamknęły, kiedy tr-r-r — odezwał się sygnał.

„Dobry wieczór”, rzekł głos, więc przyszedłeś pan na moje spotkanie?”

„Dobry wieczór! — odrzekłem, — chętnie poszedłbym dalej na pani spotkanie”.

„Niechże pan będzie wdzięczny, że miejsce *rendez-vous* naznaczone zostało w pańskim mieszkaniu — proszę posłuchać, co za deszcz! Niech pan się przyzna, że pan sobie wieszował, kiedy zaczęło padać: „Szczęśliwie, że mogę się bawić w galanterię bez narażenia się na przemoczenie” — pomyślał pan. Doprawdy, jestem bardzo troskliwa. Nie traci pan czasu, żeby przyjść do mnie, nie moknie i nie potrzebuje sobie zadawać pracy, żeby zmieniać ubranie”.

„Bardzo to mile brzmi”, przyznałem. „Tyko ma jedną złą stronę: nie widzę pani”.

„Ale to może świadczy o jeszcze większej troskliwości z mej strony! Ja nie mam może ochoty niszczyć pańskich iluzji. Czyż to nie jest prawdopodobnym, że ja jestem brzydka — albo przynajmniej stara. Może nawet jestem autorką z atramentem na wszystkich palcach. A *propos*, wie pan, że zeszłej nocy odczytałam jedną z pańskich książek?”

„O, więc pani teraz zna moje nazwisko? Cieszę się, że stałem się czemś więcej dla pani, niż adresem telefonicznym. Czy mogę zapytać, czyśmy się kiedy spotkali?”

„Nie rozmawialiśmy z sobą aż do wczoraj, ale widziałam pana nieraz”.

„Pani przynajmniej nie ma iluzji do stracenia. Oddycham swobodnie! Starałem się mówić tak, jak przystoi osobie, wyglądającej romantycznie; teraz, ponieważ pani wie, jak wyglądam, mogę być napowróć sobą”.

„Czekam dalszych słów pana z przestachem, — rzekła. — Co za wstrząśnienie znów pan mi gotuje? Proszę mówić otwarcie!”

„No, to mówiąc otwarcie, bardzo się cieszę, że połączyli pania z innym numerem zeszłej nocy. A jednocześnie czuję trudność, przymus; nie mogę do pani mówić szczerze, ani naseryo. Jest to tak, jakgdybym

pani odsłonił twarz, a pani została w masce.

„To prawda — ja to rozumiem, rzekła. A nawet, choćbym przysięgła, że nie jestem niegodna pańskiej szczerości, przypuszczam, że pan wątpiłby o tem.

„Pani!” —

„Och! to bardzo naturalne! Wiem doskonale, czem się panu wydaję, — zawołała: kokietką z nową zabawką, — ordynarną kokietką, w dodatku, która próbuje podrażnić pańską ciekawość, otaczając się atmosferą tajemnicy. Wierz mi pan, mnie nie wolno zdejmować maski. Sądź mnie pan lekko — jeśli musisz — nie mam prawa się skarżyć — ale uwierz pan w jedno. Nie wyjawiałam panu mego nazwiska poprostu dlatego, że nie mogę”.

„Pani, odrzekłem, jestem daleki od chęci wymuszenia od pani zaufania, zaręczam, że nigdy nie będę pytał, kim pani jeste, nigdy nie będę starał się odszukać pani”.

„A mimo to, mówić pan będzie do mnie szczerze i bez przymusu?”

„O, jeste, pani zanadto nielogiczna, jak na osobę starszą i brzydką, — rzekłem poważnie. Postanowiła pani pozostać dla mnie nieznaną — skłaniam głowę przed decyzją pani — ale, z drugiej strony, człowiek zwierza się tylko przyjaciółom”.

Nastąpiła długa pauza, a gdy usłyszałem jej głos znowu, był on drżący.

„Adieu, monsieur”.

„Adieu, madame!” odrzekłem.

„Skoro tylko umilkła, byłbym dał wszystko za to, żeby powróciła. Długo siedziałem, modląc się w duchu, żeby znów zadzwoniła. Siedziałem wpatrzony w telefon, jakgdyby to było jej okno, drzwi jej domu — coś, coby ją mym oczom odsłoniło. Przez dni następne żalowałem każdej minuty, nie spędzonej w tym pokoju. Kazałem sobie tam przynosić jedzenie. Zdało się, że nigdy nie pracowałem tak nieznużenie, a naprawdę nie napisałem ani jednego wiersza. „Przypuszczam, że zaczęłaś nowy romans?”, rzekła mi żona. W duszy obawiałem się, że go zakończyłem!”

Noulens westchnął; złożył ręce na głowie. Z miejsca, gdzie siedziałem, widziałem tylko jego ciemne włosy i cienkie, nerwowe palce. Parę chwil upłynęło. Zaczynałem się niepokoić, czy zdążę usłyszeć wszystko, zanim żona powróci.

„W duszy obawiałem się, że go zakończyłem”, powtórzył. „Choć to się wydaje niesłychanem, byłem zakochany w kobiecie, której nigdy nie widziałem. Za każdym razem, gdy dzwonek dzwonił, serce we mnie zamierało. Odkąd mieliśmy telefon,

skarżyłem się, że nic o nim nie wiemy, chyba kiedy znów trzeba płacić za jego użytek; ale teraz przez jakiś doprowadzający mnie do szału zbieg okoliczności wszyscy moi znajomi jakby się byli umówili, żeby telefonować o każdą drobnostkę, i wprowadzali mnie w stan drżenia dwadzieścia razy na dzień.

„Nakoniec, jednego wieczora — kiedy już prawie całą nadzieję straciłem — zadzwoniła znowu. Ach! jakież jej głos był pokorny. Przyjacielu, jakże to przykro, gdy się kocha kobietę, widzieć ją upokorzoną. Jakże żalowałem, że nie mogłem jej wziąć za rękę, objąć jej mem ramieniem. Uniżyłem się, żeby ona mogła odzyskać swą dumę. Powiedziałem jej, jak z powodu niej cierpiałem, jak za nią tęskniłem; powiedziałem jej, że była mi drogą.

„I wtedy zaczęła się przyjaźń — choć dziwnem to się panu może zdawać — przyjaźń, najśłodsza w mem życiu. Rozmawialiśmy codziennie. Ta kobieta, której mieszkanie, twarz, nazwisko nieznanne mi były, stała się powiernicą moich nadziei i zawodów. Jeżeli praca mi dobrze szła, myślałem: „Dziś będę miał dla niej dobre wiadomości”; jeżeli znów źle mi szło: — „Co to szkodzi, ona mnie potrafi zachęcić!” Nie było strony w przyszłej mej powieści, której bym jej nie przeczytał; nigdy, będąc w jakiejś wątpliwości, nie omieszkiałem zwrócić się do niej po sympatyę i radę.

„No, i cóż tam słyhać?”

„Ach, jestem dziś w kłopotcie, kochanie”.

„Biedny mój chłopczyk! Proszę mi wszystko powiedzieć; chciałem przyjść wcześniej, ale nie mogłem”.

W ten sposób rozmawialiśmy ze sobą tak, jakgdyby ona naprawdę była przy mnie. Życie moje przestało być tak rozpaczliwie smutne; chłód, który wiał z mego domowego ogniska, przestał mnie boleć. To zainteresowanie, tę miłość, to natchnienie, którego byłem spragniony, dała mi ta kobieta — niewidzialna dla mnie”.

Noulens przerwał znowu. Skorzystałem z tego, żeby wstać i zapalić papierosa — i — nigdy nie zapomnę tego! Przez otwarte drzwi pracowni ujrzałem schyloną postać jego żony. Widziałem ją tylko chwilę, ale ta chwila wystarczyła, żeby mi... w piersiach serce zamarło. Pochylna była nad stołem i twarz miała ukryta w dłoniach.

Starałem się go ostrzedz, dać mu jakiś znak. Nie widział mnie. Uczułem, że nie mogłem zrobić nic, — nic zupełnie — bez zdwojenia jej upokorzenia, bez zdradzenia się, iż ją widziałem.

„Słuchaj pan — ciągnął szybkim głosem: — „byłem szczęśliwy, byłem znowu młody — aż przyszła noc, kiedy mi powiedziała:

„To ostatni raz!”

„Trzy słowa! Ale na chwilę nie miałem tchu, nie miałem siły, żeby na nie odpowiedzieć.

„Odpowiedz!”—zawołała „Prze-
rażasz mnie!”

„Co się stało? wyjąkałem: —
Zaufaj mi, błagam cię!”

„Usłyszałem, że szłocha, i minuty
upływały. To było straszne. My-
ślałem, że mi serce pęknie, słysząc
jej płacz — płacz kobiety, której nie
mogłem osiągnąć”.

„Nie mogę ci nic powiedzieć —
rzekła, uspokoiwszy się, — tylko ty-
le, że rozmawiamy ostatni raz”.

„Ale czemu, czemu? Czy to zna-
czy, że opuszczasz Francję?”

„Nie mogę powiedzieć — po-
wtoprzyła. — Musiałam to przysiąc
sobie samej”.

„O! — wybuchnąłem, jak szalo-
ny. Byłem w rozpacz. Próbowa-
łem wyciągnąć z niej jej nazwisko—
błagałem ją, by mi wyznała, gdzie się
ukrywa. Przestrzeń między nami
wściekała mnie. To było coś okrop-
nego. Ta rozpacz, ta walka, żeby
wydobyć prawdę z tej kobiety, któ-
rej nie mogłem osiągnąć, ani wi-
dzieć”.

„Drogi, rzekła, są rzeczy, które
są poza ludzką mocą. Nie są tylko
trudne, albo nieroztropne, albo sza-
lone — są niemożliwe. Chcesz ni-
możliwości odemnie. Już nigdy me-
go głosu nie usłyszysz, prawdopodo-
bnym jest, że się nigdy nie spotka-
my, — a jeśli kiedy się to zdarzy, —
nie będziesz nawet wiedział, że to ja.
Ale cię kocham. Chciałabym wie-
dzieć, że w to wierzysz, bo cię ko-
cham gorąco. A teraz powiedz mi:
„żegnaj”. Ramiona moje są wkoło
twojej szyi, kochanie,—całuję twoje
usta!”

To był koniec. Przepadła. Chwi-
lę uczulem jej obecność w moich
zmysłach... Teraz stałem w pustym
pokoju, a naprzeciw mnie był, jak na
drwiny, tylko ten głupi aparat. Przy-
jacielu, jeżeli kiedy pożądałeś ujrzeć
kobietę, której miejsce zamieszkania
nie było ci znanem,—jeżeli kiedy zno-
iłeś się szukaniem w nadziei, że ją
znajdziesz — zrozumiesz może to,
co ja czulem; bo, pamiętaj, że twoje
zadanie było stosunkowo łatwym; —
ja nawet nie znałem kraju, z którego
pochodziła, nie widziałem nigdy
jej twarzy! Telefon mi ją dał, — te-
lefon mi ją wziął. Wszystko, co mi
zostało, to ten aparat na stole”.

Noulens nareszcie poruszył się
na swojej sofie. A obróciwszy się,
musiał zobaczyć swoją żonę. Sie-
działem, jak pod wpływem uroku.

„Aparat na stole, powtórzył, zie-
wając szeroko, jakby z wytchnieniem.
To wszystko! Jeżeli już to napisa-
łaś, jedyna, to powieść skończona!”

„Dobrze!” odpowiedziała pani
Noulens wesoło. Wbiegła do salonu
z kilkoma kartkami, zapisanemi ste-
nografią.

„Ale mi żal, mój aniele, że
historia Pawła i Rozamundy włą-
czona, no, bo to rozrzutność da-
wać dwie powieści za cenę jednej”.

„Masz rację, duszo. Ale, z dru-
giej strony, wiesz, że to wymyśliłem
dzięki temu; nie mogłem jej nadto

rozwlekać, żeby nie uszczuplić dru-
giej”.

„To prawda” przyznała. „No,
to będziemy wspaniałomyślni i jedną
włożymy w drugą”.

Spostrzegła moje zdumienie.

„Co się panu stało?”

Noulens parsknął śmiechem.

„Obawiam się, iż pan się nie spo-
strzegł, że ja dyktowałem tobie, —
rzekł, śmiejąc się cicho. — „Swoją
drogą, to szczęście, że ktoś zatelefo-

nował właśnie do nas,—to mi pod-
dało myśl całej rzeczy! Któż to był?”

„La Voix”, zaśmiała się pani.
„Zapytywała, czy powieść dostanie
na czas”.

„O, tak, rzeczywiście! co za to-
warzysze tych dwoje!”—można być
pewnym, że się to usłyszy! A ile
razy ja sam to słyszę, tyle razy
myślę o tem, co on mi powiedział te-
go wieczora i jak mnie wy kierował
na dudka.

E. M. Dell.

SZLAKIEM ORŁA.

Przekład z an-
gielskiego H. J. P.

10

Różowe szczyty gór stały się
jakby uczynione z najczystsze-
go bursztynu i nagie rozblęły
srebrzyście w promienistej gloryi.
A Muriel, patrząc na nie, przypo-
mniała sobie swój sen o orle, uno-
szącym ją w przestworza, i serce
zabiło jej dziwnie.

Spojrzała na Nicka. Zawrócił
konia ku równinom i patrzył w
dal. Uderzyła ją jego nierucho-
mość; siedział bowiem na siodle,
jak posąg, zdając się zapominać o
jej obecności. I nagle ponura sa-
motność gór ścisnęła ją, niby lodo-
wata dłoń. Doznała takiego wra-
żenia, jakgdyby na całym świecie
nie było nikogo więcej prócz nich
dwojga.

Przysunęła się z koniem do
niego.

— Zimno mi, Nicku, — rzekła,
jakby usprawiedliwiając się, że
przerywa milczenie. — Jedźmy
już!

Bez słowa, nie odwracając
głowy, wyciągnął do niej rękę. Ale
Muriel nie podała mu swojej, zdję-
ta znów lękiem.

Po długiej chwili westchnął
raptownie i zawrócił konia.

— Co? Zimno ci? Pogalopu-
jemy do Aunandale. Mamy do-
syć czasu. Ale, ale, chcę cię zapo-
znać z moją serdeczną przyjaciół-
ką, Daisy Musgrave. Słyszałaś o
niej? To cioteczna siostra Ralfa
Grange. Polubisz Daisy.

Muriel słyszała o niej od ka-
pitana Grange. A raz na jakimś
balu poznała jej męża.

— On mi się podobał — rze-
kła. — Ale wydał mi się bardzo
młodym.

— Bo i jest młodym — odparł
Nick. — Istny dzieciak. Jest w
służbie cywilnej i pracuje, jak wół.
Pani Musgrave jest bardzo wzięta.
Musiano ją wyprawić tu coprędzej
z dzieckiem. Cierpi na serce. I
być może, że każą jej wracać cał-
kiem do Anglii. Nie wolno jej wy-
chodzić z domu; ale spodziewa się,

że ją zechcesz odwiedzić wraz ze
mną. Cóż? Zgoda?

Muriel zawahała się chwilę.

— Nicku — rzekła — czy ty
mówisz wszystkim o — o — na-
szych zaręczynach?

— Oczywiście — odparł pręd-
ko. — Czemużby nie?

— Powiedziałem wczoraj la-
dy Bassett — ciągnął dalej. —
Czy mówiła co z tobą?

— O! tak. Pocałowała mnie
i powiedziała, że się bardzo cie-
szy.

Policzki Muriel zapłonęły na
to wspomnienie.

— Jak to ślicznie z jej stro-
ny — zauważył Nick, rzucając na
Muriel spojrzenie. — Droga lady
Bassett! Zawsze mówi i robi to,
co potrzeba we właściwej chwili.
I dlatego wszyscy ją tak kochamy.

Muriel nic nie odrzekła, choć
odczuła subtelną ironię tych słów.
Więc i Nick nie lubił pięknej pani?
Zaciekawiło ją, dlaczego?

— Widzisz—ponowił Nick po
chwili—nie mamy się z czem tać,
zwłaszcza, iż to się stanie tak pręd-
ko. Oczywiście, wszyscy wiedzą,
że się to odbędzie w najściślejszym
kółku. Nie potrzebujesz się lękać
żadnych powinszowań.

Lękała się, ale czego innego,
lecz nie mogła mu tego powiedzieć.

— A pani Musgrave wie? —
zapytała.

— Powiedziałem jej przede-
wszystkiem — rzekł Nick. — Ale
to jest taktowna osobka. Nie bę-
dzie się rozpytywała przed tobą nad
twojem szczęściem.

Muriel zaśmiała się nerwowo.
Pragnęła zmienić przedmiot roz-
mowy, lecz jej to nie szło. Czula
się dziwnie skrzepowaną, nie mogą-
cą znaleźć słów.

Nick przysunął się do niej z
koniem.

— Chciałbym ci coś powie-
dzieć, Muriel, nim wrócimy do do-
mu — rzekł.

— Och! Co takiego? — zwróciła się ku niemu z przestraczeniem.

— Nie masz się czego lękać — odparł, ściągając zlekka brwi. — Chciałem ci to już powiedzieć na wstępie; tylko wstydzilem się. Patrz-no, kochanie. — Podał jej na dłoni coś owiniętego w bibułkę. — To pierścionek, który, proszę cię, żebyś nosiła. W środku jest wryty napis. Przeczytaj go, gdy będziesz sama.

Muriel popatrzyła napakiecik, nie biorąc go. Pobladała bardzo.

— O, Nicku — wykrztusiła wreszcie. — Czy tylko... czy tylko jesteś pewny...?

— Pewny czego? — zapytał Nick. — Ciebie? Czy siebie?

— Ach! nie, nie, — szepnęła błagalnie. — Nie mogę się śmiać z tego.

— Śmiać? — powtórzył Nick ostro. — I nagle obejście jego uległo zmianie.

— Dobrze, już dobrze, kochanie — rzekł z uśmiechem. — Weź go. Jestem — zupełnie — pewny.

Wzięła pierścionek posłusznie, choć z widoczną niechęcią. Nick zdawał się nie zwracać na to uwagi.

— Nie oglądaj go teraz — rzekł. — Czekaj, aż będziesz sama. Schowaj go gdzie i pogalopujemy.

Spojrzała na niego, wsuwając dar do kieszeni.

— Pozwolisz sobie podziękować, Nicku? — rzekła wstydliwie.

— Poczekaj, aż go zobaczysz — odrzekł. — Może nie uznasz go godnym podzięk. No, a teraz wcał! Raz! Dwa! Trzy!

Pomknęli znowu, i Muriel odzyskała znów dobry humor; ale na dnie jej duszy pozostał jakiś beziemny lęk, którego ani określić, ani się pozbyć nie umiała.

XII.

Lady Bassett była jeszcze niewidzialną, gdy Muriel wróciła do domu, choć śniadanie oczekiwało już na werandzie.

Muriel przeszła do swego pokoju i zaczęła żywo przygotowywać się do kąpieli. Przejazdźka zrobiła jej dobrze. Czuła się zmęczoną, ale i głodną porządnie.

Wyjęła z kieszeni amazonki podarunek Nicka, ale nie chciała go wcale oglądać. Odkładała to do chwili, kiedy znajdzie się sama w ogrodzie, mając cały, długi letni ranek do rozporządzenia. Czuła, że się to poniekąd Nickowi należy.

Ale leżący na stole liścik zwrócił jej uwagę. Pismo było jej nieznane. Ciekawość zdjęła ją, aby

go copędzej otworzyć. Treść jego była następująca:

„Droga miss Roscoe! Nie chciałabym się pani wydać natrętną, ale nie mogę przyciężyć mojej niepewności i śpieszę zadać pani pytanie: czy istotnie będziesz pani tak dobrą i, odrzuciwszy na bok wszelkie ceremonie, zechcesz mnie dziś popołudniu odwiedzić. Będę zupełnie sama, bo mój mąż nie ma jeszcze pretensji do towarzyskości. Wiem, że Nick obiecuje sobie towarzyszyć pani i, oczywiście, będę mu rada, o ile pani będzie wolała przyprowadzić go ze sobą. Co do mnie jednak, uważam, iż będzie on stanowczo „de trop“. Czuję, że poznamy się wkrótce dobrze i że nikt nam zbliżenia ułatwić nie potrzebuje. Nick wprawdzie, posiadając w każdym kierunku niezwykle zasoby sprytu, i z tego zadania wywiązałby się z powodzeniem, ale powtarzam, że wydaje mi się to zbyt zbytecznym.

Przyszła pani przyjaciółka,
Daisy Musgrave“.

Muriel odłożyła list z uśmiechem. Jego niewymuszona serdeczność chwyciła ją za serce. I ona garnęła się instynktownie ku tej kobiecie, która, choć zupełnie jej nieznana, potrafiła tak od razu uderzyć w siostrzany ton. A Muriel tak łaknęła towarzystwa jakiejś przyjaznej duszy.

Lady Bassett siedziała już przy stole, gdy Muriel, wykapawszy się, weszła na werandę. Piękna pani powitała swą pupilkę nieco kwaskowatym uśmiechem i nadstawiła jej policzek do pocałunku.

— Jaki z ciebie ranny ptaszek, kochanko, — zauważyła miodowo. — Wyobrażam sobie, że wtargnięcie kapitana Ratcliffe obudziło całe sąsiedztwo. Musieliście wyjechać przed świtem. Gdybym była wiedziała o tym projekcie, byłabym ci odradziła tak wczesnego spaceru.

Muriel splonęła rumieńcem na tę delikatną wymówkę.

— Nie było to po raz pierwszy — odparła głosem lekko drżącym z wewnętrznego oburzenia. — Widywaliśmy już przedtem wspólnie wschodzące słońce i wschodzący księżyc.

Lady Bassett westchnęła leciutko.

— Nie wątpię, kochaneczko, — rzekła — że ani ci powstało w głowce zachowywać się niewłaściwie i wyzywająco. Moja władza nad tobą jest prawie żadna,

poczuwam się jednak do obowiązku udzieleniu ci przestrogi, gdy widzę, iż lekceważysz konwenanse w sposób, mogący być jak najniefortunniej interpretowanym. To też, tuszę sobie, iż weźmiesz pod uwagę moje słowa i zechcesz stosować się do nich na przyszłość. Czy nalać ci kawy?

Muriel siedziała po drugiej stronie stołu i patrzyła na lady Bassett swymi wielkimi, szeroko otwartymi oczyma, w których nie malował się ani gniew, ani oburzenie, tylko rodzaj mimowolnego, jakiegoś lekceważenia.

— Będę dziś z wizytą u wielkiej przyjaciółki Nicka — ozwała się po długim milczeniu. — Pani ją zapewne zna — to pani Musgrave.

Lady Bassett ściągnęła leciutko swe gładkie czoło.

— A ty, kochanko, znasz ją? — zapytała.

— Nie. Nie widziałam jej nigdy. Ale Nick jest z nią w przyjaźni i znam bardzo dobrze jej ciotecznego brata, kapitana Grange.

Lady Bassett nic na to nie odpowiedziała.

— Oczywiście, moja droga, — podjęła po chwili — jesteś w tym wieku, że możesz robić, co ci się podoba; ale naogół nie jest rzeczą przyjętą rzucać się w światowy wir po tak niedawnych a okropnych przejściach, jak twoje.

Było coś naładowanego elektrycznością w nagłej ciszy, jaka po tem łagodnem napomnieniu nastąpiła. Twarzyczka Muriel okryła się pąsem i stopniowo zbladła śmiertelnie.

Lady Bassett ciągnęła dalej, wciąż słodko strofująca:

— Nie mówię nic przeciw twemu małżeństwu, drogie dziecko. Wiem, że to jest kwestya konieczności. Ale właśnie dlatego uważam, że nie możesz być nigdy zbyt uważną w tem, co czynisz. Opinia nie bywa litościwą dla tych, którzy ją sobie lekceważą. A ty, kochanko, jesteś w położeniu, nakazującym ci liczyć się z nią podwójnie.

Umiłkła, bo Muriel wstała nagle od stołu. Oczy jej płonęły, jak dwa karbunkuły, w kredowo-bładej twarzyczce.

— Dlaczego pani nazywasz moje małżeństwo kwestyą konieczności? — spytała. — Sir Reginald mówił mi, że mój ojciec zabezpieczył mi byt.

— Ależ, tak! tak! kochaneczko, — odparła lady Bassett ze sztucznym uśmiechem. — Tu bynajmniej o to nie chodzi. Skoro

jednak jesteś jeszcze tak naiwna, nie będę ci otwierała oczu. Wystarczy, abyś wiedziała, że istnieją bardzo ważne powody, czyniące twe małżeństwo koniecznym, i że, im prędzej pójdziesz za męża, tem lepiej. Nim zaś to nastąpi, posłuchaj mojej rady i zachowuj się, o ile można, najtaktowniej. Upewniam cię, że to jest bardzo potrzebne.

Muriel wysłuchiwała tej przemowy w milczeniu. Nic a nic nie mogła zrozumieć, do czego się te aluzje odnosiły, i osądziła z punktu, że nie warto sobie nad niemi łamać głowy. I zawstydzona się sama przed sobą, że ją to tak narazie obeszło. Niechże sobie lady Bassett mówi i myśli, co jej się podoba! Odpowiedziała więc tylko krótko i spokojnie, że zamiaru odwiedzenia pani Musgrave nie zmieni, i odeszła od stołu.

Lady Bassett nic na to nie rzekła, wymownie tylko wzruszyła ramionami. A Muriel udała się do ogrodu, stąpając pewniejszym krokiem i z głową wyżej podniesioną, niż to było jej zwyczajem. Idąc, z pewnego rodzaju przyjemnością sięgnęła do kieszeni po upominek Nicka. Ostatecznie, czego się lekała? Wszystkie dziewczęta nosiły zaręczynowe pierścionki. Znalazłszy się w ulubionym swym kąciaku, gdzie wśród kępy sosen kołysał się hamak, usiadła na nim i wydobyła pakiecik z uczuciem dziecinnego prawie oczekiwania.

Gorące promienie słońca, przedzierając się przez ciemne gałęzie nad jej głową, padły na drogocenne kamienie i olśniły ją prawie, gdy ze zwojów bibułki wynurzyła się przepyszna, staroświecka rubinowa markiza.

Muriel aż drgnęła z radości, ujrawszy ten wspaniały klejnot. Prędko założyła go na palec i podniosła ku słońcu.

Rubiny błyszcząły w tem świetle czerwono, jak krew serdeczna, gorąco, jak płomień. Muriel wpatrywała się w nie, oczarowana.

I nagle przypomniała sobie słowa Nicka. Jakiś napis miał być w środku. Zdjęła pierścionek i zaczęła go pilnie oglądać.

Tak, był napis: trzy wyrazy, wyryte staroświeckimi głoskami na wewnętrznej stronie złotego kółka. Były tak misterne, że mizolila się długo, nim je zdołała odczytać litera po literze, i wtedy jeszcze nie pojmując ich znaczenia.

Aż wreszcie stało jej się wiadomem w jednej chwili, jakgdyby głos jakiś szepnął jej do ucha.

Napis ów brzmiał: OMNIA VINCIT AMOR.

I oto pierścionek, który trzymała w ręku, jakby się przeobraził. Nie był to już widomy znak jakiejś zawartej umowy; był to zadatek miłości, ofiarowany jej przez człowieka, który nigdy miłosnego słowa do niej nie wyrzekł.

DCN.



Wiadomości literackie.

Z literatury angielskiej.

× *W. B. Maxwell*. „*General Mallock's shadow*”. („*Cień generała Mallock'a*.”) W książce niniejszej dał autor ponury, silny obraz wpływu, jaki wywiera klęska, w Indjach poniesiona, na życie oficera angielskiego. Otoczony nagle na stanowisku na wzgórze przez dziką horde buntowników, o wiele liczniejszych od oddziału, którym rozporządza, generał, pragnąc ocalić kobiety i dzieci, poddaje się wodzowi powstańców. Wróg wszakże złamał słowo; odwrót oddziału angielskiego zamienia się w rzeź i generał uchoodzi za zdrajcę. Władze nie chcą wysłuchać jego wyjaśnień, nie chcą mu dać innej służby, wobec czego generał popelnia fatalną niedyskrecję — ucieka się do pomocy prasy i za wydrukowanie opisu swojej winy i krzywd swoich zostaje wykreślony z szeregów armii. Powróciwszy do ojczyzny, osiada w Yorkshire, lecz „cień” snuje się za nim — sąsiedzi odwracają się od generała, który, wraz z dwiema córkami, pędzi życie samotne i smutne. Ale nadchodzi dzień restauracji — tłum strajkujących napada na dom administratora dóbr, którego uważa za sprawcę swojej nędzy. Generał obejmuje dowództwo obrony, odpędza tłum, zaprowadza porządek i staje się bożyszczem całej okolicy i prasy; otrzymuje podziękowanie władz i zostaje nanowo zaliczony do szeregów armii. Książka napisana jest z talentem, jakiego autor już niejednokrotnie dawał dowody w powieściach poprzednich. („*Vivien*”, „*The guarded flame*”).

Z literatury belgijskiej.

× *Maurycy Maeterlinck*. „*La mort*”. („*Śmierć*.”) Nowa książka Maeterlincka jest zawsze poniekąd „wypadkiem” w świecie literackim. Głośny autor przerwał dłuższe, tym razem, milczenie, by położyć ostatnią cegłę w gmachu swojej filozofii. W dziele, o którym mowa, zajmuje się śmiercią, jej znaczeniem, nieśmiertelnością duszy, a w ciągu rozważań swoich i spirytyzmem. Z rozważań tych wynika jasno, że śmierć, która w młodocianych utworach autora wyglądała zewsząd pcnura i przerażająca, nie przejmuje już trwogą filozofa zrównoważonej mądrości życiowej; wydaje mu się naturalnem zakończeniem procesu życiowego, któremu poddać się należy z obojętnym stoicyzmem. Zwalcza więc Maeterlinck obawę przed śmiercią i przed tem, czego nie znamy. „To, czego nie znamy i czego poznać niepodobna” — mówi w końcu — „jest i będzie może zawsze potrze-

bnem do naszego szczęścia”. Z rozdziału poświęconego spirytyzmowi, wynika, że autor, taki wierzący w nieśmiertelność ducha ludzkiego, wbrew tyłu swoim dziełom, w których unosi się dreszcz zaświatowej trwogi — zapatruje się na spirytyzm więcej, niż sceptycznie, i mniema, że „gdyby nawet” przypisać dobrą wiarę eksperymentatorom i ich medyom, to wyniki „badań” są „mniej, niż nic nie znaczące”. Maeterlinck przygotował się do tego rozdziału swojej książki bardzo sumiennie: przeczytał całą niemal literaturę spirytystyczną, a wśród niej 25 tomów protokółów towarzystwa londyńskiego „*Society for Psychical Research*”. Otóż z tych dwustu trzydziestu jeden protokółów, wywnioskował Maeterlinck, że nawet, gdybyśmy je uznali za pewne i stwierdzone, dowodzą one, iż tych 231 duchów nie przyniosło nam najdrobniejszej wiadomości ze świata, z którego wracały.

Z literatury francuskiej.

× *Paweł Margueritte*. „*La maison brûlée*”. („*Spalony dom*.”) Autor już w kilku powieściach swoich, zwłaszcza zaś w „*La Tourmente*” i w napisanym wspólnie z bratem, Pawłem, romansie „*Les deux vies*” — przemawiał za ułatwieniem rozwodu. W książce najnowszej porusza ten temat ponownie, malując bohaterkę swoją w najczarniejszych barwach. Mąż przebaczył jej pierwsze wiarołomstwo i na to powołuje się sędzia, odrzucając jego pierwszą skargę, domagającą się rozwodu. Miłość do energicznej młodej dziewczyny zniewala zdradzonego męża do czynu; ostatecznie zakochani pobierają się, a i dzieci z pierwszego małżeństwa są szczęśliwsze z macochą, niż były z matką. Stąd trudno zrozumieć, dlaczego autor każe tej drugiej żonie swego bohatera umierać podczas połogu, skutkiem wady serca.

× *Lucyan Wiktor Meunier*. „*L'assomption de Madame Brossard*”. („*Wniebowzięcie pani Brossard*.”) Pierwsza to praca beletrystyczna poważanego pisarza politycznego. Przysnąć należy, że, pominąwszy styl niezbyt opracowany, czysto dziennikarski, ta pierwsza próba świadczy dobrze o zdolnościach p. Meunier'a. Zdołał on w temacie pani Bovary nowe odnaleźć struny. Tytuł jest, oczywiście, żartem antyklerykalnym, albowiem „wniebowzięta” zostaje młoda kobieta, której kochanek popelniał samobójstwo, w mówiący w siebie, że ona go już nie kocha; ciężkie wyrzuty sumienia, mąż, człowiek bardzo ograniczony i złośliwa bratowa zdręczają na śmierć nieśczęśliwą kobietę, która znosi te męki w milczeniu.

× *Alberyk Chabrol*. „*La maison des dames*”. („*Niewieści dom*.”) Między licznymi powieściami, opisującymi życie studentek, powieść niniejsza zajmuje miejsce wybitne. Dwie siostry studują razem, mieszkając w pokojach umeblowanych w Paryżu. Jedna z nich ulega porywom zmysłowym, upada i kończy samobójstwem. Druga, nie mogąc pojąć takiej słabości, wymazuje z serca wspomnienie zmarłej. Gdy jednak została sekretarką niemłodego już uczonego, który nie zaznał szczęścia w małżeństwie, budzą się i w niej uczucia tkliwsze; przestaje sądzić surowo zmarłą siostrę i adoptuje jej córkę.

Z literatury amerykańskiej.

× *Edyta Wharton*. „*The reef*”. („*Skala*.”) Utalentowana autorka dała w tej nowej powieści swojej świetną analizę temperamentu ludzkiego, brak je-

otrzymane **Nowości** na sezon wiosenny i letni w wełnach, jedwabach i bawełnach na kostymy i suknie, oraz towary białe pierwsz. fabryk krajowych i zagran., chustki, pończochy, rękawiczki i t. p.

POLECA:

FELIKSA SKRODZKIEGO i S= Warszawa, Bracka 16, Telefon 222-42.

NOWO OTWORZONY MAGAZYN BIAŁYCH I SKŁAD PŁÓTNA

dnak w akcji właściwego momentu tragicznego i przypadek za dużą odgrywa rolę. W podróży do Paryża spotykają się p. Darrow z p. Zofią Viner. Z platońskiej początkowo przyjaźni wywiązuje się namiętna miłość, która też prowadzi do t. zw. „sexual adventure”. Darrow powraca do Londynu i spotyka dawną kochankę w domu młodej wdowy, którą chce poślubić, a której pasierb zaręczył się z Zofią. Ten stosunek stanowi ową „skałę”, o którą rozbija się szczęście zarówno winowajców, jak i niewinnych. Darrow i Zofia nie mogą dłużej okłamywać otoczenia, a wyznanie ich winy zrywa oba zamierzone małżeństwa.

TREŚĆ № 10.

Gromada. *Józef Weysenhoff.*
Lisy na dworze królewskim. *J. Lemański.*
Niewierny pan Noulens. *L. Merrick*
Szlakiem orła. *E. M. Dell.*
Wiadomości literackie.

PRENUMERATA wynosi z przesyłką pocztową, 4 rb. rocznie, 2 rb. półrocznie, 1 rb. kwartalnie.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
Warszawa, ulica Zgoda № 1.

Redaktor: **STEFAN KRZYWOSZEWSKI.**
Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT”.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, ulica Bonerowska 12.

Druk Tow. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie

Z dziedziny kosmetyki.

Cierpiącemu. Najprawdopodobniej, wyrzuty na twarzy są skutkiem nieprawidłowego działania żołądka. *Ziola paragwajskie d-ra Grimma* zwykle w tych wypadkach skutecznie działają, lecz muszą być dłuższy czas używane. Inne środki są zwykle za ostre i tylko chwilową ulgę przynoszą.

Maryanowi. Cerę pielęgnuje prawidłowo *Abarid*.

Bronisławowi. Jeżeli *Precioza* żółtych plam nie usunęła, trzeba użyć drugą dozę i zapudrowywać pyłkiem *Juvenia Candida*. Lepsze środki nie istnieją. *Abarid* nie służy do usuwania plam, lecz do prawidłowego pielęgnowania cery i zapobie-

gania tworzeniu się zmarszczek wskutek fałdowania skóry.

Polce z kresów. Tylko *Abarid*, wcieryany na noc, zakonserwuje cerę znakomicie. Jeżeli zmarszczki już się znacznie zarysowują, trzeba użyć do pomocy masażystkę pneumatyczną systemu *Heros*. Myć twarz ciepłą wodą i *Otrąbkami abaridowemi* bez mydła; kolor siwiejącym włosom przywróci *Orizalina*, która nie ma wad, jakie mają inne tego rodzaju środki.

Numerowi 144. Szorstkość czoła usunie *Crema Neutre*, działający znakomicie przeciw wszelkim łuszczeniom skóry i liszajom.

Młodej blondynce. Uporczywe wągry tylko masażystka *Heros* może radykalnie usunąć. Na tę żółtość cery trzeba po wtarceniu w twarz na noc *Abaridu* zapudrować natychmiast pyłkiem *Juvenia Candida*.

Ładnej biuralistce. Środek, o który Pani zapytuje, jest zbyt silny i może być użyty na męską grubą cerę; dla cery delikatnej tylko *Precioza* użyta być może, gdyż działa łagodnie, nie sprawia najmniejszego zaożnienia skóry. Na wypadanie włosów środek prawie nigdy nie zawodzi — to *Tetral Tissota*, którym się skrapia skórę głowy przy codziennym rannym czesaniu. *Tetral* nie zmienia koloru włosów, co zwykle ma miejsce przy używaniu innych, podobnych temu, środków. Bóle głowy pochodzą z zaziębienia przy częstem myciu włosów. Otóż zaprzestać zupełnie wszelkiego mycia i czyścić głowę dwa razy na miesiąc na sucho specjalnym pudrem *Florentine* przez natrzywanie dłonią, a następnie wyczesywanie szczotką i grzebieniem po kilkunastu minutach.

Niezaradnej. Ręce szybko udelikatni i wybieli *Pate des Prelats Ponsarda*. Najbardziej zniszczone i zaniedbane ręce w ciągu miesiąca można doprowadzić do atlasowej gładkości. Przed samem użyciem *Pate des Prelats* trzeba ręce umyć w ciepłej wodzie i, gdy jeszcze mokre, wetrzeć w nie trochę tego kremu i nałożyć na noc niciane przewiewne rękawiczki. W dzień zaś, po każdym myciu rąk, użyć małej ilości tego kremu. Już pierwszego dnia skutek będzie widoczny.

Do Wszystkich. Środki, tutaj omawiane mają na składzie firmy: „Perfection”, Szpitalna, 10, i *Paszkowski*, Marszałkowska, 109, oraz *Nowosenatorska*, 2, w Ło-

dzi *Spiess*, w Wilnie *Gruźewski*, w Kijowie *Niwiński*, we Lwowie *Pawłowski*, Akademicka, 21, w Krakowie *Miklaszewski* pl. Dominikański, 1. Na kopertach z pytaniami należy dopisać: „Dział Kosmetyczny”.

M-me Ercedès.

Siwe włosy.

ginga bezpowrotnie po jednorazowym użyciu „Wody Pigment”. Woda ta nie farbuję lecz przywraca naturalny kolor włosów. Nie zawiera tłuszczu ani osadu. Nie brudzi skóry, proszę raz spróbować jeśli nie poskutkuje, przyjmujemy z powrotem: skład główny perfumeryjny J. Wróblewskiej, dawniej Lipink. Wierzbowa róg Niecałej, tel. 75-56. Wysyłka za zaliczeniem.

MOR TĘPI RADYKALNIE szczury i myszy wyłączna sprzedaż **ST. STANISZEWSKI** Warszawa, Krak.-Przedm. № 31. Skład apteczny i perfumeryjny.

INFORMACYE.

Pani Helenie J. W sprawie uczesań rautowych najlepiej zwrócić się do specjalisty, który zrobi to według ostatniej mody, z zastosowaniem do rysów twarzy. Radzimy udać się do *Wiktora*, *Erywańska 16*. Można telefonicznie.

Wskazówki.

Pani Zofii G. Uczesanie modne, bez odpowiednich dodatków, jest niemożliwe. Najlepiej udać się o nie do specjalisty — fryzjera, p. *Józefa Bagnowskiego Wilca 35, róg Marszałkowskiej*. dom W-go J. Fruzińskiego.

WYKWINTNA BIELIZNA DAMSKA WYPRAWY CAŁKOWITE (specjalność) **Z. BIERNACKA** Warszawa, Marszałkowska 152 (róg Erywańskiej). Telefonu 205-85.

Gabinet kosmetyczny WANDY ZIELIŃSKIEJ masaż leczniczy, kosmetyczny, elektryczny depilacja, parowanie „manicure” **ŻÓRAWIA № 47 m. II** od 12-3 i od 4-7 pp.

KONRAD ŚCIBOROWSKI Kraków, Floryańska 13

POLECA: BLUZKI, HALKI, OKRYCIA PLUSZOWE I ANGIELSKIE, KOSTYUMY, SZLAFROKI, PONCZOCHY, RĘKAWICZKI, — PARASOLE, WACHLARZE, BOA STRUSIE I T. P. — CENY UMIARKOWANE.

Magazyn obuwia mechanicznego MARKI: „SŁOŃ” MARSZAŁKOWSKA 154 POLECA Nowości sezonowe!!!

Biedna wdowa po obywatelu ziemskim bez żadnych środków do życia, zwraca się z gorącą prośbą o pomoc. Ofiary pod literami K. M. przyjmuje Administracja naszego piśma.

DOM BANKOWY **Z. Szempliński i Ska** Nowy-Świat 40, tel. 98-60. Kupno i sprzedaż papierów procentowych, przekazy na zagranicę. Assekuracja. Lokaty. Konserwacje w Tow. Kredytowym.

E. KOWALSKA i Ska MONIUSZKI № 8, tel. 292-80 sklep od ul. Jasnej KORONKI WSTAŻKI PASMANTERJE Wielki wybór. = Ceny niskie.

Niemoc męską leczy radykalnie Cena rub. 25 7365— PATENTOWANY APARAT PASTORA **Seweryn PIK**, Warszawa, Danielewiczowska 8 m. 20

Staruszka 87 letnia, z inteligentnej rodziny, ociemniała, bez środków do życia, błaga o pomoc. Ofiary dla S. M. przyjmuje Administracja.

Towarzystwo Akcyjne Przemysłowo-Handlowe

„Ł. J. BORKOWSKI“

== ZARZĄD ==
Warszawa, Mazowiecka № 11.

Dąbrowa Górnicza, Łódź, Lublin, Częstochowa, Radom, Moskwa, Dziwińsk.

Poleca z własnych składów i z fabryk: żelazo handlowe, blachy żelazne, cynkowe, cynkowe, miedziane; belki żelazne, cement, węgiel i koks rury żelazne, szyny, śruby, matry, nitry, łopaty stalowe, grabie, lemiesz i odkładnice, stal narzędziowa i zwykła, odlewy surowcowe, sprężyny do maszyn rolniczych (do grabi, kultury watorów i t. p.) beczki żelazne do nafty i spirytusu, kosy styryjskie i krajowe kosy do sieczkarń, osie, buksy, łańcuchy, gwoździe drut, pasy do maszyn skórzane i z sierści wielbłądziej, kowadła i madła, wiertarki, tokarnie, pilniki, podkowy, hufnale, pakunki wszelkiego rodzaju i t. p.
CENY HURTOWE. — CENNIKI NA ŻĄDANIE GRATIS.

Z dniem 1-ym Marca r. b. przy ulicy Mazowieckiej № 11, otwarty zostanie sklep detaliczny z artykułami technicznymi po cenach hurtowych.

SKŁAD PAPIERU i DRUKARNIA

ANTONI SZUSTER

Warszawa, Krak.-Przedm., Hotel Europejski, tel. 12-23

poleca: Materiały piśmienne i rysunkowe. Księgi buchalteryjne, Rejestr gospodarze, Menu, Karty wizytowe, Zaproszenia ślubne Druki wszelkiego rodzaju, Galanterię piśmienną i skórzaną, Albumy do fotografii, do kart pocztowych. 7762

Obstalunki z prowincyi załatwia się odwrotną pocztą.

AMERYKAŃSKIE

Towarzystwo Fibry Wulkanizowanej

IMPORT FABRYKA
Ameryk. fibry wulkanizowanej | artykułów technicznych
najlepszego gatunku. | Z FIBRY.

Wszelkie wyroby z Fibry dla celów technicznych.

KONTO BANKOWE: BANK HANDLOWY, w WARSZAWIE.

Adres telegraficzny: „Fiber“.

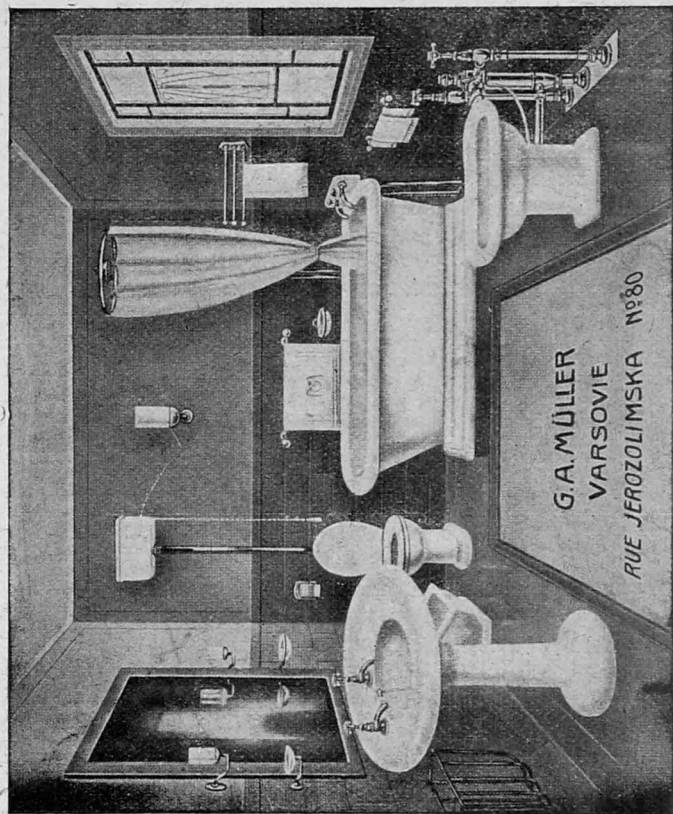
Warszawa, Ogrodowa № 10. Telefon № 287-56.

Buchalterów, korespondentów, inżynierów, chemików, biuralistów, kasyerki, panów i panny piszące na maszynach, pracujących, aptecznych i drogistów, handlowców, akwizytorów, inkasentów, woźnych, służbę domową i t. d. tylko z pierwszorzędnym świadectwami i referencjami prywatnymi poleca

Kaucyonowane biuro rekomendacyjne 6725

W. ŻDŹARSKI, S-to Krzyska 1
Telefon 251-16.

Wytwórny Iluzjon
„MASCOTTE“
Program pierwszorzędny
Muzyka koncertowa
BODUENA 4
we Wtorki i Soboty NOWOŚCI!!!



G. A. MÜLLER WARSZAWA,
Aleja Jerozolimska № 80

Wielki wybór WANIEN, umywalk, zmywaków, angielskich i żelaznolanych emaliowanych PIECÓW kąpielowych. RUR i FASONÓW kanalizacyjnych i wodociagowych, oraz ARMATUR wszelkiego rodzaju.

Sparaliżowana

na obie ręce wdowa po artyście malarzu błaga o jakąkolwiek pomoc. Łaskawe datki dla M. Jabłońskiej przyjmuje Redakcja.

Grand Café Versailles

Bagatela № 12
róg Alei Szucha,

Właściciele: Bracia Karczmarszewscy
BILARDY. TELEFON 210-46.

Wody Mineralne Sztuczne

Lecznicze.

D-ra Jaworskiego.

WAR. TOW. AKC.

„MOTOR“

Marszałk. 23.

== KĄPIELE ==
z kwasem
WĘGLOWYM.

„VARSOVIE AUTOMOBILE“

Warszawa, Marszałkowska № 154.

Telefonu № 85-33.

Jeneralna Reprezentacja na Cesarstwo i Królestwo

6679

„The Willys-Overland C-o Automobiles“

Nieporównana wytrzymałość na boczne polskie drogi, szybkość i taniość

25 H. P od rb. 2,500
30 „ „ od „ 2,750

35 H. P od rb. 3,200
45 „ „ od „ 3,700

Otwarty NOWO wybudowany w Krakowie

Hotel Francuski

(HOTEL DE FRANCE)
ul. Św. Jana i Piarska. Tel. 10-46.

Poleżenie bardzo spokojne. Ostatni wyraz komfortu i higieny. Ceny bardzo przystępne. W najlepszym położeniu plant, blisko stacji kolejowej i rynku. W każdym pokoju telefon, automatyczny przyrząd do budzenia, ciepła i zimna woda, pokoje z wannami, apartamenty rodzinne, 3 windy elektryczne, restauracja, kawiarnia, czytelnia, fryzjer, meksi i dani, autogaraż i automobili przy każdym pojeździe.

Najtaniej, bo w fabryce!
ZYRANDOLE ELEKTRYCZNE,
LAMPY, AMPLI, etc.
J. SERKOWSKI
Nowolipie № 78
wprost Żelaznej.
MAGAZYNÓW W ŚRÓDMIEŚCIU NIE POSIADAM.

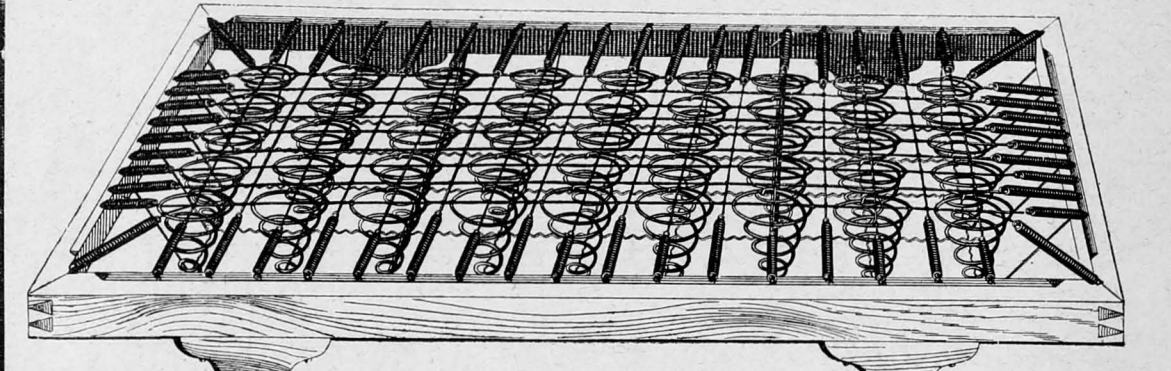
Nowo otwarty Magazyn Broni
 POD FIRMA
R. Gliniecki i B. Wierzejski
w Krakowie, ul. Szewska 2.
 poleca bogaty wybór broni wszelkich systemów, przy-
 borów myśliwskich, sportowych, oraz **własną pra-
 cownię i warsztaty reparacyjne.**

SKŁAD MATERIAŁÓW BŁAWATNYCH
Sabiny Gehrke Chmielna № 8
 poleca na sezon wiosenny i letni **NOWOŚCI** krajowe i zagran.
 WELNY czarne, kostyumowe, wizytowe,
 DRAPAES DAMES, SZEWIOTY kostyumowe i okryciowe
 MATERYSKI i WELWETY, KREPY żałobne
 BATYSTY, MUŚLINY, HAFTY szwajcarskie i krajowe
 PŁOTNA, PIKI, SOYÉ, SATYNY od 26 kop.
 KRETONY od 9 kop. TOWARY BIAŁE.
 Próby na żądanie bezpłatnie. Telefon 192-21.

LOKALE dla Banków, Kupców i Przemysłowców LOKALE
Nowo-Miodowa № 3 róg Senatorskiej i Junkierskiej, do wynajęcia od 1-go Lipca r. b. Lokal odpo-
 wiedni także na **kawiarnię, cukiernię** i t. p. — Na żądanie mogą być połączone 3 lokale piętrowe z dolnym skle-
 pem, 4 wystawowymi oknami 9x9 i 4 okna 4x4 □ łokci, wielkość sal 520 □ łokci, mogą być rozdzielone według
 wymagań. Centralne ogrzewanie, 2 windy i wszelkie nowoczesne urządzenia.
 Wiadomość na miejscu od 10 — 12-iej, lub u właściciela Z. Alberga, Marszałkowska 53 od 3 — 5 godz. Telefon 30-27.


Kühle, Miksche, Türk
 Właściciel **B. ZURKOWSKI**
WARSZAWA, AL. JEJEROZOLIMSKIE 43.
 TEL. 31.27.
 APARATY FOTOGRAFICZNE dla p. p. Amatorów i Zawodowców oraz wszelkie przybory do tychże.
 LATARNIE CZARNOKSIĘZKIE dziecięce i szkolne,
 KINEMATOGRAFY dziecięce i teatralne,
 LRONETKI teatralne i przyzmatowe.
 Towar gwarantowany.
 Ceny najniższe — fabryczne.

Wygodnie się śpi
 tylko na higienicznych materacach sprężynowych „**Knippenberga**”
 30 najwyższych nagród na wystawach wszechświatowych.



Do nabycia we wszystkich większych magazynach
Warszawska Fabr. Hygien. Materaców Sprężynowych
Okopowa 14 (przy Lesznie) Telef. 76-03 i 1-26.


PIWO DROZDOWSKIE
MARCOWE
 NAJBARDZIEJ
ESSENCYONALNE
PIWO NA ŚWIECIE
 DO NABYCIA WE WZYSTKICH KLEPACH I RESTAURACYACH
 /KŁAD GŁÓWNY ŻELAZNA 58
 TEL. 30-46.

PARFUM
CHEVALIER D'ORSAY
 17, RUE DE LA PAIX, PARIS

7409— ZAKŁAD
Lecznicy dla przychodzących
 z chorobami żołądka i kiszek
Dra Tadeusza Wilczyńskiego
 Al. Jerozolimska № 35. Tel 282-25,
 przyjęcia od 9—10 r., od 1—3 i 6—7 p.p.

AKUSZERYJNY ZAKŁAD
 akuszerki Igo rzędu **M. RING**
 urządzonej podług tegoczesnych wy-
 magań. Przyjmuje na czas dłuższy.
 Porady. Dyskretya. Krucza 37—8.

A. TAHN & CO
 POLECAJĄ
 TEKSTURĘ SMOLOWCOWA
 LAKI - SMOŁE
 WARSZAWA
 LESZNO 86
 KORKOWA IZOLACJE
 I.T.P.


Z. Dobrzańska i Ska Warszawa, Jasna 10.
 Telefon 178-75.
 polecają **wykwintne papiery listowe** w wielkim wyborze.